

MAŻ Z PRZESZŁOŚCIĄ

KOMEDJA W DWÓCH AKTACH.

OSOBY:

ROMAN BOLCHOWICZ, sędzia.

IRENA, jego żona.

PANI WARECKA, obywatelka wiejska.

HELENA
KLEMENTYNA } jej córki.

LEON ORCZAK, obywatel wiejski — sąsiad.

NATALJA, krewna Wareckich — wdowa.

FELIKS
TADEUSZ } prawnicy.

MALECKI, muzyk.

ANUSIA
WALENTY } służba Bolchowiczów.

WIKTORJA.

MAŁA LIPCIA.

Rzecz w Warszawie — u Bolchowiczów.

Pokój wygodnie i ze smakiem urządzony. — Główne wejście po środku. Z prawej, drzwi do pokoju Romana — z lewej, do pokoju Ireny i dalszych. Okno — pianino — lustro stojące.

Akt I-szy.

SCENA PIERWSZA.

WALENTY, później ANUSIA.

WALENTY (kończy nakrywać do śniadania, gwiżdżąc walca z operety — wchodzi Anusia).

ANUSIA: Pomogę Walentemu.

WALENTY: Już nakryte. — Teraz możemy usiąść i pogadać sobie swobodnie, zanim państwo nadejdą.

ANUSIA (gryząc jabłko i bujając się w fotelu na biegunach): Pogadajmy.

WALENTY: O! jużci porwała jabłko i do tego tyrolskie!

ANUSIA: Nie poznają (je).

WALENTY: No! to i ja koniaczku (nalewa kieliszek i wychyla). Nie poznają (odstawia kieliszek na bok i rozpiera się na kanapie). Owóż, moja panno Anusiu, mnie się widzi, że ja długo nie będę popasał w tym domu...

ANUSIA: O! a cóż to tutaj nie w smak Walentemu?...

Roboty nie dużo, jeść w bród, grymasów żadnych, gości na lekarstwo.

WALENTY: Otóż w tem sęk! Gdzie nie masz gości, nie masz interesu.

ANUSIA: Rozumiem (dmucha na dłoń).

WALENTY: Oczywiście. Z czegoż tu się porządny człowiek obłowi? he? Za gołą pensję służyć?... Głupia rzecz.

ANUSIA: Poczekaj Walenty, toć się nie dawno po-brali... Jeszcze sobie radzi — poczekaj.

WALENTY: Jakto, nie dawno?... Rok akuratnie.—Toż dzisiaj rocznica.

ANUSIA: Rocznicą?

WALENTY: A mimo to, co? Żywego ducha!... Pan pierwaj inakszy był pono — ho! ho! Filip, poprzedni lokaj, nagadać się nie mógł, co to był za urwipoleć z tego pani-ska!... Umyślnie go nawet — powiada — wydalit przed ożen-kiem, żeby do pani coś nie coś nie przesiakło.

ANUSIA: Patrzcie-no!... A dziś! hm, hm, lis! Z domu nie wylazi, żonie po piętach depce, do wszystkiego się wści-bia, omal do garnków nie zagląda... A zazdrosny, aj, aj, aj!...

WALENTY: Kart nie amator, cygar nie amator — ty! do czorta z takim panem!

ANUSIA: Pani też — ciepłe kluski i tyle!

WALENTY: Nie, ja w tej zatraconej służbie nie wy-trzymam dłużej. Niechaj tu sobie kto chce pleśnieje u takich zardzewiałych państwa. Ja potrzebuję uciąć sobie trochę grosiwa na stare lata. Dziś jeszcze podziękuję za miejsce

i adju Fruziu! (chce pocałować Anusię — dzwonek w przed-pokoju).

ANUSIA (zrywając się): Państwo!

(Walenty wybiega — po chwili wchodzi głębią: Warecka, He-lena, Klementyna, Leon, w ubraniach podróżnych. Walenty obładowany pakunkami, również panie i Leon).

SCENA DRUGA.

ANUSIA wita przybyłe, pocałowaniem w ręce i pomaga się rozbierać.

WARECKA: Co to? Nikogo? Państwo gdzie?

WALENTY: Pan na sesji.

ANUSIA: Pani w kościele.

WARECKA: Ja myślałam, że tu u was ludu huk! tym-czasem... Ba! nawet na dwie osoby nakryte tylko!... Chyba wieczorem spodziewacie się?...

ANUSIA: Czego, proszę pani? Niby gości?

WALENTY (zajęty pakunkami): U nas goście rarytas.

WARECKA: Tak?... a...

HELENA (reflektując): Mamol

WARECKA: No cóż? Przecież w takim dniu!... W pierw-szą rocznicę!... O! ten Roman! (do Walentego) A wint czę-sto u was?

WALENTY (machnąwszy ręką): Oti

WARECKA: Pozanoś te pakunki i podaj, co macie go-towego.—A! jest szynka, sardynki, ser (kręci się koło stołu).

Wiecie co! Siadajmy i bądźmy sobie radzi. (Walenty z Anusią wynoszą kuferki na lewo).

LEON: Ależ...

WARECKA: U własnej córki będę jeszcze z ceremonjami... Siadaj pan — i wy — (nakłada sobie na talerz, dużo wszystkiego i je).

HELA: Przecież możemy poczekać, aż nadejdą.

WARECKA: To sobie czekajcie, ale ja muszę coś przetrącić, bo aż mnie ssie (je).

KLIMA (do Heli): Mamę zawsze coś ssie! (dzwonek).

WARECKA: Bogu dzięki! Ira pewno —
(wbiega Irena, ubrana, jak na ulicę).

SCENA TRZECIA.

WARECKA, HELA, KLIMA, LEON, IRA.

IRENA: Mama! mama! Hela! Klima! (uściski, pocałunki) — A! i pan Leon!

LEON: Całuję rączki.

IRA: Co za miła niespodzianka!

WARECKA: Chciałyśmy wczoraj, w wilję. — Ale ten wasz ojciec, o te konie... No! jakże się miewasz? Zdrowaś? szczęśliwaś? Przybladłaś trochę... A moje panny, co?

IRA: Wyglądają ślicznie! (całuje siostry). A i mama...

WARECKA: O, ja nie! Ja muszę do wód. Ten mój bok nieszczęśliwy. — Rybki wybornel (je).

IRA (częstując): Proszę, proszę. Ah, jakąż ze mnie gapa! Toż wyście z drogi —

WARECKA (pełne usta): Od piątej z rana!

KLIMA: Tak, ale zabrałyśmy furę prowiantów z domu. Prócz tego mama na każdej stacji...

LEON (n. str.): Potem narzeka na bok!
(Ira nalewa wino, likier, częstuje).

WARECKA: Sądziłam, że zastaniemy u was gości.

IRA: Panie Leonie, siadaj, proszę.

LEON: Całuję rączki. Spieszę do hotelu. Odwiozłem tylko panie i wrócę, jeśli pani sędzina pozwoli — nad wieczorem.

IRA: Na obiad proszę.

KLIMA: A zobacz pan po drodze, co dziś w teatrze. Ja muszę obsłuchiwać się z operami.

IRA: Jakto! jeszcze ci nie wywietrzało z głowy?

KLIMA (zadzierzysto): Co? co mi miało wywietrzeć? mój talent! moje powołanie?

LEON (z ironią): Powołanie!

WARECKA: Nie inaczej. To przyszła gwiazda europejska! Tylko, rzecz prosta, trzeba ją uczyć. Tymczasem ojciec ani chce słyszeć o przeniesieniu się do Warszawy. Umyśliłam przeto umieścić ją u was — jeśli nb. Roman się zgodzi. W tym celu nawet przyjechałam głównie. Pan Leon bowiem zamiast nam pomagać, z ojcem intryguje.

LEON: Ja pani?

WARECKA: No, no, nie udawaj pan niewiniątka — już ja pana znam! Pan zazdrosny jest. Pan radby ją zam-

knać na cztery spusty przed światem. To tak jak Roman — ten także marynuje swoją żonę.

IRA: Roman mnie nie marynuje tylko nie czasowy — a także i nie lubi wizyt.

WARECKA: A cóż on lubi, ten twój gagatek, co? Szlafrok, pantofle. — Nahulawszy się do syta, za kawalerskich czasów, chciałoby się po ślubie wejść w dobrze zastużony stan spoczynku!... Lecz nic z tego, żona młoda, zabawy potrzebuje.

IRA: Eh, wie mama, niekoniecznie. Mnie dobrze jak jest.

WARECKA: Myślę, że choć przy mężu winnaś sobie nagrodzić panięskie nudy i... i siostrom pomódz...

HELA: W czym?... A niechże mnie Bóg broni, żebym ja o rozrywkach myśleć miała jedynie.

WARECKA: Ta znowu w książkach zakopana wiecznie.

IRA: Jeśli jej to sprawia przyjemność.

(Klima odprowadza Leona i wraca wkrótce).

WARECKA: Skoro, uchowaj Chryste, młodzież zmiarkuje, że taka uczona, uciekać od niej będzie, jak od zapowietrzonej! Mężczyźni boją się takich mądrych kobiet, — bo to, jak gdyby im zaglądały w karty — powiadają.

HELA: Eh!

WARECKA: I ty przez swój rozum, osiądziesz na koshu, jak dwa a dwa: cztery.

HELA: To mnie nie przeraża wcale. Zawsze znajdę sobie dołę.

WARECKA: Starej panny! (z trwogą) Aj, aj, dziewczyno!

HELA: Doktorki.

WARECKA (do Iry): Słyszałaś? Ona o uniwersytecie marzy, o leczeniu chłopów! Nie waryatka to! (do Heli): Taką partię masz, moja droga! Pan Kalasanty, 50 włók pysznej gleby, las, stawy i jeszcze moc grosiwa w kabziel

HELA: Za to na punkcie inteligencji... (Ira i Klima śmieją się).

WARECKA: No, no, tylko nie wycierajcie sobie nim ząbków, moje panny! Porządny, zamożny, chce się żenić, czegoż żądać więcej? Ja doprawdy nie rozumiem dzisiejszych panien... Za moich czasów... (dzwonek).

IRA: Roman idzie — jego dzwonek.

WARECKA: Temu też należy się parę słów odemnie.

HELA: Niechże mama przynajmniej na pierwszym wstępie...

IRA: Może mateczka poprawi ubranie (daje znak siostrom, te uprowadzają matkę na lewo — Roman wchodzi głębia).

SCENA CZWARTA.

IRA, ROMAN.

ROMAN (witając się z żoną): Mama zjechała i siostry?... He, he, pewno spodziewały się balu. Rocznicza.

IRA: A ty, zaraz złośliwy!

ROMAN: Będzie miała, czego żąda — bo oto Feliks z Tadeuszem zaprosili się sami, a Bąkowsy i Swirscy także. Goście! wincik! Lecz jakże tam z obiadem? nie spodziewałaś się...

IRA: Zaradzi się, zaradzi.—Przekąś tymczasem.

(Roman wychyla kieliszek koniaku, zagryza tartinką).

IRA: Takam kontenta z ich przyjazdu! tak dawno ich nie widziałam... Zabierz no się do tych sielawek, doskonałe.

ROMAN (jedząc): Prawda. W nagrodę powiem ci dobrą nowinę. Dostałem awans i to znaczny ale... z tranzlokacją, do Płocka.—Cóż, cieszysz się? nie boisz się prowincji?

IRA: Przypomnę sobie wieś, będę miała ogródek... Lecz mama się zmartwi. Miała zamiar umieszczenia u nas Klimy, dla nauki w śpiewie. Cały plan na nic.

ROMAN: Co? Jeszcze im te bzdurstwa w głowie...

IRA: Romku!

ROMAN: Eh, bo ta twoja mama...

IRA: Jest moją mamą.

ROMAN: Niestety!

IRA: No, no, tylko bardzo cię proszę! Nawet ma trochę racji. Żyjemy, jak odludki!

ROMAN: Już cię nakręciła?

IRA: Mój drogi, ty sam wldzisz chyba, że nasz dom nie należy do najweselszych... Przeciwnie.

ROMAN: Mnie w nim dobrze.

IRA: I mnie niezgorzej — ale mogłoby być lepiej. Siostry mam młode a i sama lubiłabym czasem się zabawić... bywać, u siebie przyjać.

ROMAN: Nie rozumiem, słowo honoru, tej manji kręcenia się, wiercenia między ludźmi. Bierzcie przykład ze mnie: biuro, akta, dom.

IRA: Ba, łatwo przechwalać się temu, kto uciech miał wyżej uszu! aż mu obrzydły.

ROMAN: O! zkądże ty o tych uciechach wiesz na przykład?!

IRA: Od wszystkich po trosze. Głównie zaś od twoich najserdeczniejszych, od tych, z którymi bomblowaliście do wspólki. A ty byleś hersztem.

ROMAN: Hersztem byłem? hm —I którzyż to? którzy? Feliks z Tadeuszem oczywiście. He, he, rozumiem ich plany, zgaduję. Ale przytnę ja im języka, zobaczysz—skoro tacy!

IRA: Dajże pokój, żartowali.

ROMAN! Eh, moja droga, takie żarty nie są bez kozery.—Dążenia ich znane, znane.

IRA: Tobie wszystko znane, znane!

ROMAN: Usiłują dyskredytować mnie w twoich oczach, by tem snadniej...—Lecz ja i bez tego widzę doskonale, co się święci... Oni mi coś zanadto kręcą się około pani dobrodziejki.

IRA: Urojenie! Ty sobie zawsze musisz tworzyć jakieś strachy...

ROMAN: Ooh, pozwól—już ja się na tem znam lepiej. Dawno widzę, że te urwisy pragną wśrubować się w twoje łaski, zwrócić twoją uwagę. A co? uśmiechnęłaś się... to ci w smak! pochlebia twojej próżności. Wstydz się, wstydz!

IRA: Ależ Romku, upewniam cię.

ROMAN: Nie udawaj, żeś tego nie dostrzegła. Nie byłabyś chyba kobietą. Macie wy na to nasek, oj, oj.

IRA: Ani mi przez myśl, daję ci słowo. Jak rodziców kocham, jak ciebie kocham!

ROMAN (ustr.): A to potrzebniem wypaplał.

IRA: Lecz teraz będę uważała.

ROMAN: Nic, nic, nie trzeba. Ja tak dla żartu, słowo honoru, dla żartu.

IRA: Będę uważała.

ROMAN (ustr.): Masz babo redutę! (gł.) No, Iruś złota, zapomnijmy o tem, cośmy mówili. Ja tak sobie czasem baję, baję, dla rozweselenia mojej żonusi. Oni kim innym są zajęci, wiem to na pewno.

IRA (wesóło): Dobrze, dobrze.—Muszę zajrzeć do kuchni. (przy drzwiach z lewej) Będę uważała, ha, ha, ha. (śmieje się i znika).

ROMAN (sam): Bodaj mnie wszyscy!.. Oj ci przyjaciele!

(głębią wchodzi Leon).

SCENA PIĄTA.

ROMAN, LEON.

ROMAN: A! pan Leon!

LEON: Rączki całuję. (rozejrzawszy się, że nie ma nikogo więcej, przypada do Romana). Sędzio drogi, ratuj, pomagaj!

ROMAN: Cóż tam, dla Boga?

LEON: Pani Warecka chce umieścić u państwa córkę, celem kształcenia jej na śpiewaczkę. Otóż ja na tę karierę artystyczną nie przystanę nigdy. Kocham tę panienkę, zrę-

kowiny odbyły się uroczyste, mimo to mama wciąż swoje: „do re mi fa”. Istna kołowaczna, dalibóg!

ROMAN: Ah, ta mama!

LEON: Nieszczęście panie! Uroiła sobie niebywałe talenta w dziewczynie i nikomu spokoju nie daje!.. Otóż prośba moja taka: Odmów pannie Klimie kąta w swoim domu, a cały plan w łeb weźmie! Cóż? mogę mieć nadzieję? Mów, sędzio najdroższy, gadaj.

ROMAN. Nie tylko nadzieję ale pewność, pewność, dobry p. Leonie. Przenoszę się na prowincję.

LEON: O zbawco! o dobrodzieju! (ściska go, obracając się z nim w kółko). Gotowym dalibóg skakać z radości. Patrz pan, do jakiego stopnia jam na punkcie tej dziewczyny sfiksowany. Kocham ją, kocham, jak szalenie! (ściska go).

ROMAN: Gwałtu! gwałtu! udusisz mnie pan!

LEON: Może ona głos i ma—ja się tam na tem nie znam... Słysząc ją na gościńcu, gdy rulady tnie przy fortepianie.

ROMAN: Dałbym ja jej tak się drzeć.

LEON: Ale mnie, panie, żona nie zaś aktorka potrzebna. Djabli mi po wawrzynach. Zechcemy bobkowych liści do pieczenia, to się po nie pośle do Mendla, do miasteczka. Ah, kamień młyński spadł mi z serca! dalibóg! Ale nie zdradzisz mnie, sędzio? bój się ran Boskich!

ROMAN: Nie, nie, ja starałem się o tę tranzlokację.

LEON: A mama? Cóż mama na to?

ROMAN: Nie wie jeszcze.

LEON: Będąz gromy! Ona to panie córkom w głó-

wach przewraca. Dziewczęta dobre są. Ale zresztą niech tam sobie wszyscy karki kręcą, byle Klima była moja!

ROMAN: Toż przecie w teatrze jej nie zjedzą...

LEON: Sędzia drwi, kiedy w mojej duszy piekło!

ROMAN: A myślisz pan, że w mojej: niebo?

LEON: W pańskiej? Co znowu?

ROMAN: Tak, tak, lecz nie mówmy o mnie. Nie lubię tego tematu.

LEON: Dlaczego? Nie ufasz pan przyjaźni mojej? Sędzio, toż jestem serdecznym przyjacielem waszego domu.

ROMAN: Ojej! aby nie: „przyjacielem domu” — nie: „przyjacielem domu” — p. Leonie!

LEON: Czemuż?

ROMAN: O duszo naiwna! Alboż ci nie wiadomo, że pod tem mianem, kryją się właśnie najzaciętsi wrogowie każdego męża? czychający na jego spokój, honor, szczęście, by je zdruzgotać..

LEON: Eh! eh!

ROMAN: Nie wierzysz? Ożeń się a zobaczysz. — O ile ci, naturalnie, męzowska katarakta nie zasłoni żrenic.

LEON: At!

ROMAN: Każda młoda i choć trochę przystojniejsza męzatka, toż to manna niebieska, na pustyni kawalerskiego żywota, p. Leonie!.. Gotowe ognisko rodzinne, bez mozołu, bez trosk, bez nakładu kapitału! Pieczone przepiórki, przepiórki p. Leonie.

LEON: Przesada!

ROMAN: Ani trochę. Z drugiej znów strony, owe formy towarzyskie, nakazujące dłoń ścisnąć zdrajcy! co za tortura!

LEON (ze śmiechem): He, he, he! sędzio! (grozi mu), sameś podobno za swego kawalerstwa...

ROMAN: Tak, tak, niestety — ja takim samym byłem urwipółciem — i to dziś moja kara, i to moja męka!.. Doświadczenie nieraz mści się okrutnie!.. Podstęp widzę dookoła, drzę przed odwetem, bo jest Nemezys, jest!

LEON: Żona pańska wszakże...

ROMAN: Czysta dotąd, wiem. Ale już kręci się koło niej drapieżne ptactwo i wyciąga po łup szpony!.. Widzę z ich spojrzeń, słyszę w ich głosie, czytam w ich móżgu: „pożądanie“!

LEON: Cóż ztąd, skoro kobieta...

ROMAN: Kobieta również czeka sposobności jedynie. Spójrz pan, jak się stroi, mizdrzy, kryguje! Jakie spojrzenia marzące, jakie uśmiechy załotne posyła!.. A po co jej to? Ma już przecie swojego, wybranego... Zepsucie, p. Leonie, zepsucie i próżniactwo! Pers — powiada Montesquien — zwiedzając stolice Europy, pyta Paryżanina — „Widzę świątynie, szkoły, sądy — a gdzież są wasze haremy?” — „Nasze haremy?” — odpowiada francuz — „nasze haremy, to domy naszych przyjaciół”. —

LEON (ze śmiechem): Nie wierzysz pan w wyjątki?

ROMAN: Mąż, roszczący sobie prawo do wyjątkowości, ofiarą pada przed innymi.

LEON: Brrr! Mowa pańska odbiera odwagę do życia!

ROMAN: Rozumiałbym do hymenu — ale i to bajki!

(z ironją) Jedno słówko pańskiej połowicy więcej cię przekona, niż najjaskrawsze fakty. Tacy to już bo jesteśmy, my, mężowie! (przy oknie, przy którym—przechadzając się po scenie—znalazł się przypadkiem) Oto np. patrz pan: Dążą tutaj właśnie—sami się zaprosiwszy—Feliks z Tadeuszem, moi przyjaciele i koledzy.—I o czym też — sądzisz pan — myślą w tej chwili, ci, moi przyjaciele?.. Oto, ni mniej ni więcej, tylko... by mi zbałamucić żonę! i z tego chluby szukać przed światem.—Ja zaś, świadomy ich zamiarów, karmię ich, poję, podejmuję gościnnie pod swoim dachem! A dla czego to robię? bo mi tak dobre wychowanie, cywilizacja nakazuje!

LEON: Całuję rączki!

ROMAN: Gdybym był mniej cywilizowany, porwałbym za kołnierz jednego z drugim, zbił, stłukł, zrzucił ze schodów, zgolił dowiódł, że się na farbowanych lisach znam!.. Ale nie mogę, bom osobnik uspołeczniiony, jednostka kulturalna—ściskam tedy zęby i (do wchodzących głębią Feliksa i Tadeusza) Ah! witajcie drodzy, kochani! jakto pięknie, żeście dotrzymali obietnicy!.. (ściska ich i całuje) Rozgośćcie się, proszę, siadajcie — Może papieroska? (częstuje) Pan Orczak — wszak wam znany?

SCENA SZÓSTA.

ROMAN, LEON, FELIKS, TADEUSZ.

FELIKS: Nasza szlaga! chluba hreczkosiejów! Tylko czemuż tak rzadko w Warszawie?

LEON: Gospodarstwo, kłopoty.

TADEUSZ: A może i jaki dyskretny flircik sąsiedzki.

FELIKS: Lecz gdzież to gospodyni?

ROMAN (spojrzawszy porozumiewająco na Leona): Zająta gośćmi—mama, siostry.

FELIKS: Przyjechały panie?

(nadchodzą z lewej: Warecka, Hela, Ira, Klima).

SCENA SIÓDMA.

FELIKS (do Iry): Przybyliśmy złożyć życzenia.

IRA: Wdzięczna szczerze (do Tadeusza, również składającego życzenia, wraz z ucałowaniem rączek) Szczerze wdzięczna (dalej po cichu).

ROMAN: Ja jeszcze nie przywitałem się z mamą—(podchodzi do Wareckiej i panien). Jakże szanowne zdroweczko? (Ira zbliża się do nich. Na przodzie Feliks i Tadeusz).

FELIKS: Pił pił pił! Jak ona słodko spojrzała na mnie! Tadek! Tak słodko, jak jeszcze nigdy... Jakoś ciekawie, pytająco...

TADEUSZ: I na mnie! i na mnie!... Nie mogę wyjść z podziwienia.

FELIKS: Co jej się stało? Tak dotąd chłodna, obojętna... Widocznie zaczynam wpadać jej w oko.

TADEUSZ (poprawiając włosy, wąsy): Ty? eh, łudzisz się.

FELIKS: Więc może ty? Co za zarozumiałość.

TADEUSZ: Ja, prędeż.

FELIKS: Z powodu?

TADEUSZ: Przystojniejszym, dyskretniejszym.

FELIKS: Terefer! Minę masz pospolitą, czuprynę przeredzoną.—Co zaś do dyskrecji, to nie ty jeden monopol jej posiadasz (przegląda się i trefi w lustrze).

TADEUSZ: Widocznie Roman dawniej już coś zwąchał, skoro taki cierpki, chmurny od pewnego czasu.

FELIKS: No, no! evviva! Ktoby się był tego spodziewał! To mi gratka! La, la, la! (obydwaj zbliżają się do Iry, nadskakując).

FELIKS: Jakże dawno nie miałem przyjemności widzenia pani...

IRA: Dawno?! Przed trzema dniami u państwa Barańskich.

TADEUSZ: Trzy dni! ależ to trzy lata!

WARECKA (zbliżając się): A! i panowie! witam! witam! Jakże się cieszę!.. Dowiemy się przynajmniej, co słychać w Warszawie? jakie nowinki? Dla nas, wieśniaków, toż to rzecz upragniona.

TADEUSZ: Toż państwo Romanostwo...

WARECKA: Ah Boże, to anachorecil zażemowieni, zacofani!

ROMAN: Tak, mam—na punkcie plotek, myśmy zawsze mocno zacofani.

WARECKA (do Tadeusza): Mecenasiu, siadajno tu przy mnie. Pan jesteś muzykalny—musisz mi poradzić co do Klimy. Chodzi nam o nauczyciela sumiennego a nie drogiego.

TADEUSZ (siadłszy): Znam, znam—perłę sumiennosci—

Meleski, profesor konserwatorium, powaga muzyczna — tylko strasznie zajęty (dalej po cichu).

FELIKS (do Iry): Grzech, słowo honoru, zbrodnia! tak się ukrywać przed światem! tak unikać ludzi! Upatrywałem państwa w teatrze, w alejach, szukałem w Dolinie, nic i nic!.. Godzi się to?

IRA: Pan wie, że Roman.

FELIKS: Roman! Roman! Niech siedzi w domu, skoro ma robotę. Jam zawsze gotów na usługi. Słówek przez posłańca a stawiam się po rozkazy z rozkoszą, uszczęśliwiony!.. Oto np. dzisiaj konferencja literacka—mogę towarzyszyć pańiom, zaopiekować się, odwieźć do domu. Dobrze?.. Zgadza się pani?.. Błagam, proszę pani Iro? (głośniej): Słuchajno Romanie, możeby postarać się o bilety na dzisiejszą konferencję, dla pań? Tyś pewno zajęty?

WARECKA: Owszem, owszem, jeszcześmy nigdy nie byli na żadnej konferencji.

KLIMA (do Leona): A pan mi przynieś kilka róż Mareschal Niel, do sukni na ową konferencję.

TADEUSZ (do Heli): Panna Helena taka zawsze milcząca.

WARECKA: Doskonała byłaby para z Romanem. Nie pojmuję doprawdy, dlaczegoś ty się z nią nie ożenił...

IRA: Widzi mama—jemu właśnie podobala się mniej poważna.

WARECKA: W domu trzpiot był z ciebie aż miłoś! Szkoda, żeś się tak odmieniła—ładniej ci było z wesołością, nawet z odrobiną kokieterji, doprawdy.

ROMAN (ciszej do Leona): Słyszysz pan? to mówi matka!

FELIKS: Pani Irmie ze wszystkim do twarzy, z uśmiechem czy melancholią. Zawsze czarująca!

ROMAN (j. w.): A to—przyjacieli!

TADEUSZ: Wszystko to jednak tak zazdrośnie ukrywane jest przez męża, że nawet najbliżsi...

FELIKS: Roman małżeństwo traktuje po patriarchalnemu.—Gdyby mógł, uciąłby żonie warkocz!

ROMAN (zły—ustr.): O cywilizacjo!

TADEUSZ: Zabroniłby pokazywać się gościom.

FELIKS: Siadać do stołu.

TADEUSZ: Tylko panu swemu usługiwać pokornie.

ROMAN (ustr. zaciskając pięści): O kulturo!

WARECKA (śmieje się): Ha, ha, ha—hi, hi, hi.

ROMAN: Mamę bawi, że ci panowie usiłują być dowcipni. Rzadko to im się udaje, niestety!.. Bieglejsi są w karambolu, przy zielonym stoliku lub bodaj przy kieliszku. Dowcip nie przychodzi na zawołanie.

FELIKS: Alboż nie prawdą jest, że się na małżeństwo zapatrzasz po drakońsku!

TADEUSZ: Na własne — dodaj dla ścisłości. Pierwej bowiem i na cudze...

ROMAN: Cóż? Myślałby kto, żem był rozbójnikiem!

FELIKS: A byłeś, byłeś—salonowym. I nie tylko salonowym, bo i coś tam z oficyn... (Warecka i Tadeusz śmieją się).

ROMAN: Rozrzewniającą jest na honor, ta wasza serdeczność dla mnie i aby nie tamować jej upustów (kieruje się ku drzwiom z prawej—ustr.). Oj, dałbym ja wam, dał!.. gdyby nie... oh! (znika).

(Tadeusz z Feliksem nieco skonfudowani).

WARECKA: Dziwadło!.. Moje panienki, idźcie tymczasem rozpakujcie kufry. Hela, włóżno tę różową sukienkę. Nieraz czytałam, że młodzieniec zachwycony był urodą panny, ubranej w różową sukienkę. Oświadczył się, ożenił i wierny pozostał do śmierci.

(Hela, Klima i Leon odchodzą na lewo).

SCENA ÓSMA.

IRA, WARECKA, FELIKS, TADEUSZ.

WARECKA: Moi panowie, powiedzcie mi — ale tak szczerze—czy Roman istotnie takim był hulaką, jak mówicie?

FELIKS: Czy istotnie? bagatelą! Ależ pani łaskawa, to serc niewieścich pożeracz klasyczny!.. Ile on miał awantur. Ale nie, nie! pst! Nie godzi się oczerniać druha, odsłaniać jego zboczenia, ułomności...

WARECKA: Prawdę zawsze wiedzieć należy.

FELIKS: Lecz jeśli ta prawda jest nie korzystna?

TADEUSZ: A jak tym razem, szkodliwa nawet?

FELIKS: Tyle tylko powiedzieć możemy, że... że świę-
tym nie był.

TADEUSZ: Oj, co nie, to nie!

FELIKS: Ale basta! Więcej ani słów!.. Niech się panie
nie domagają. We własnym interesie, radzę nie pytać dalej.

TADEUSZ: Tak, tak, kolega ma słuszość, niech panie
nie nalegają.

WARECKA: Podobno damy lgnęły do niego, jak na lep?

TADEUSZ: A i z mężami potrafił. Żadnemu nie dał
się złapać...

FELIKS: Raz jednak o mało... pamiętasz z trzeciego
piętra...

TADEUSZ: Pst, pst, — dla spokoju pań, szal!

FELIKS: Aktorka też jedna była.

TADEUSZ: Feliks! jakież z ciebie papla! niedyskretny!
fi!.. O ilu ja wiem, a przecież usta na siedm pieczęci i ani
mrumru!.. Młody był, wolny był, używał życia, ile się dało.
Czem umiał nie używać, pytam?.. Panie wszakże wiedzieć o tem
nie powinny.

FELIKS: Racja, racja, nie zmuszajcie nas panie, to
napróżno. Nie dowiecie się od nas nic, nic! słowo honoru!

TADEUSZ: Toż to kolega, przyjacieli! Nie nam roz-
głaszać jego figle! A było ich, było! ho, ho, ho!

WARECKA: Niektóre, bodaj pociągające za sobą po-
ważniejsze obowiązki, he?

FELIKS: Tego nie twierdę, chociaż kto wie, kto wiel..

IRA: Dość, dość! Nie chcę słyszeć więcej.

FELIKS: Dziś za to, udaje Katona.

IRA: Boże! Boże!

WARECKA: Nie martw się, Irusiu, może on się upa-
mięta. Tymczasem staraj się dom uczynić weselszy, baw się,
nie myśl o troskach... A jak Klima sprowadzi się do was,
już przez to samo, że panna w domu...

IRA: Niestety, mam, prawdopodobnie my wyniesiemy
się z Warszawy.

WSZYSCY: Co! co?

IRA: Przed chwilą Roman udzielił mi tej wieści. Prze-
noszą go.

WARECKA: Co ty mówisz? Bój się Boga!

IRA: Ze znacznym awansem.

TADEUSZ (na stronie): Szczęśliwa bestja! Już trzeci
awans a inni nic!

FELIKS: Lecz dokąd? dokąd?

IRA: Do Płocka.

WARECKA: Chryste! I cóż wy w tym zapadłym kącie
robić będziecie?... Nie, ja na to nie zezwolę nigdy! — Nie
chciej, uprzej się, cóż u Boga Ojca!

FELIKS: Mama słusznie radzi. Należy być energicz-
niejszą, nie poddawać się. Roman jest człowiek... że tak po-
wiem, nieco... zaawansowany w lecach, łaknący wczasów...

TADEUSZ: Już mu się nawet talja zaokrągła.

FELIKS: Pani natomiast, sama młodość, bujność, życie!

WARECKA: Jak ja byłam w twoim wieku, to ho! ho!
Wracając jednak do tego przebrzydłego wyjazdu... zgubisz

Klimę. Ten liczykrupa, wasz ojciec, nigdy na mój pobyt w mieście nie przystanie.

IRA: Cóż ja poradzę?

WARECKA: Spróbuj. Powiedz, że... że ci tamtejsze powietrze nie posłuży.

IRA: Zkądże o tem naprzód wiedzieć można?

WARECKA: Płock... Płock jest wilgotny.

IRA: Dlaczego?

WARECKA: Bo... bo leży nad wodą. Płynie się przecież do niego statkiem.

IRA: Warszawa także leży nad wodą i nad tą samą jeszcze.

WARECKA: Prawda! Panie Feliksie wynajdźże co...

FELIKS: Właśnie szukam argumentów.

TADEUSZ: Eh, alboż młoda i piękna kobieta potrzebuje argumentów? „Nie chcę i basta”. A dla czego? — „bo nie chcę” — ot zwykła logika niewieścia — z którą nb. wygrywa zawsze!

WARECKA: Ajaj! my tu gadu, gadu — a przecież i ja pomyśleć muszę o swojej toalecie, na wieczór. Do widzenia z panami.

(odchodzi na lewo).

SCENA DZIEWIĄTA.

IRA, FELIKS, TADEUSZ.

FELIKS: Tadeu kochany, biegnij po bilety.

TADEUSZ: Możebyśmy razem...

FELIKS: Cóż to? nie udźwigniesz!.. Ja nie mam czasu. Ta sprawa, wiesz, Chrońskiej...

TADEUSZ: To też nie marudź tutaj — tem więcej, że i pani Ira ma zajęcie z gośćmi. No, dalej (spycha go z krzesła) rusz się i marsz do Chrońskiej. Ja tylko słówko powiem Romanowi i bezzwłocznie za tobą...

FELIKS: Nie, nie, natychmiast. Później możesz nie dostać, wiesz, jak są rozchwytywane.

IRA: Mama by się zamartwiła.

FELIKS: Słyszysz? Więc jazda. No, coś ci, tak nie sporo? Ojoj, jakiś ty marudny.— „Mama by się zamartwiła”. A i pani? prawda?

TADEUSZ (z ciężkiem westchnieniem): Ano, to już idę, idę. — Ale i ty także, nie zagaduj się tutaj (czule żegna Iry i znika głębia).

SCENA DZIESIĄTA.

IRA, FELIKS, później ROMAN.

FELIKS (oznaki bólu, smutku): Oh!

IRA: Cóż to za nastrój pogrzebowy?

FELIKS: Ah, bo ten wyjazd państwa! ten wyjazd!..

IRA: Nasz wyjazd pana trapi?

LEON (z lewej, dążąc ku wyjściu): Rączki całuję — (znika).

FELIKS: Co my tu bez państwa poczniemy? słowo honoru!.. Bo jakkolwiek rzadko udzielacie się miastu, pe-

wność, że znajdujecie się w pobliżu, że państwa w każdej chwili ujrzeć można, krzepiła serca, wlewała otuchę... Tymczasem teraz... Ah! ten wyjazd! ten wyjazd! na honor, katastrofa!

IRA: Katastrofa! hi, hi, hi —

FELIKS: Pani się śmieje, kiedy ja... Ah, to cios! straszny cios! a jak nagły! jak nie spodziewany! ah! ah!

ROMAN (wchodzi z prawej): Co! ty jeszcze tutaj?

FELIKS: Al grzecznyś bardzo!

ROMAN: Bo ta sprawa Chrońskiej...

FELIKS: Biegnę, biegnę — zapomniałem.

(pożegnawszy gospodarzy — odchodzi).

SCENA JEDENASTA.

IRA, ROMAN, później NATALJA.

ROMAN: Co ten truteń ma tak ciągle do paplania z tobą? Kobieta nie powinna tak dużo rozprawiać z młokosami, to ich rozuchwala.

IRA: Eh, porozmawiać, pożartować czasem, żeby też nie było wolno...

ROMAN: Kiedy to błazen.

IRA: Eh, u ciebie każdy błazen. Feliks, Tadeusz, Ryńcio. — Przyjaźniłeś się z nimi dawniej i byli ci dobrzy. Z Feliksem nawet kochaliście się jak bracia. —

ROMAN: Aha! jak bracia! jak Kain i Abel.

IRA: Dopiero po ożenieniu.

ROMAN: Tak, dopiero po ożenieniu, poznałem co to za łotry!

IRA: Łotry?

ROMAN: No jakże nazwiesz takie zaloty do cudzej żony? żony przyjaciela?.. Boć oni wszyscy zalecają się tobie.

IRA: Takie zaloty, to... to...

NATALJA (która wszedłszy od chwili, przysłuchiwała się rozmowie): Takie zaloty, to kwintesencja dowcipu męskiego, jeśli czynność tę sprawujemy (wskazawszy na Romana) sami. Jeżeli zaś inni — zbrodnia niesłychana!

ROMAN: Pani Nata! (wita ją serdecznie — znać, że ją lubi) Gdybym nawet nie widział, poznałbym po... tekście.

NATA: Znowu tedy natrafiam na scenę małżeńską... Aj, aj, panie Romanie, pan sam nasuwasz myśli, o których jej się nie śniło.

ROMAN: Bo pani nie wie — ten Feliks.

NATA: Feliks nie jest ani gorszy, ani lepszy od drugich. Bez najmniejszej etyki odnośnie do kobiet — ale to przecież zasada ogólna.

ROMAN (patrząc na nią z uśmiechem): Jak pani dziś ładnie wygląda... (całuje rączkę) Tylko, że pani zamiast po mojej stronie...

IRA: Dajmy temu spokój.

ROMAN: Ja sobie nie życzę, żeby ten błazen tu bywał.

IRA: To mu powiedz.

ROMAN: Zapewne, by pomyślał, żem o niego zazdroś-

ny, że go się boje!.. Odprawa winna iść od kobiety. Inaczej, to dolewanie oliwy do ognia. Mąż zazdrosny, co za podnieta! co za przyprawa do zakazanego owocu!

NATA: Sos tatarski, papryka, pikle!

ROMAN (z bólem): Oh, pani nie uwierzy ile ja cierpię.

IRA: Niepotrzebnie cierpisz. Nikt na serjo nie myśli o mnie. Te zaś czcze frazesy...

ROMAN: Ah! więc są już i frazesy? Więc ci już coś szeptem na ucho! Kto? ten truteń Feliks, ten błędny rycerz Rynio, czy ten idjota Tadeusz?

NATA: Truteń! idjota! Ślicznie pan traktuje swoich przyjaciół.

ROMAN: Oniby mnie potraktowali lepiej, żeby mogli, kanaljel

NATA: Wyprawiajże pan żonie sceny, męcz, dręcz, a zobaczymy, co zyskasz.

ROMAN: Właśnie, że zyskam, bo ją wywożę z Warszawy, tej Sodomy, małżeńskich zrad i wstrętnego flirtu.

NATA: Dokąd? na odludną wyspę Robinsona? Wszakże i tam znalazł się Piętaszek.

ROMAN: Na prowincję — a przyzna pani sama, że na partykularzu mniej jest sposobności, mniej pokus. I my tam z Irą (całuje ją) żyć będziemy jak w raju.

NATA: Eh, co mi to za raj, bez węża kusiciela!

ROMAN: Nie zapominaj pani, że wąż zgubił Ewę i cały ród ludzki.

NATA: Bo był niewprawny, Ewa też. Za nic pan liczysz postęp tylu tysięcy lat?

ROMAN: At, kto tam z kobietami dojdzie ładu.
(odchodzi na prawo).

SCENA DWUNASTA.

IRA, NATA.

NATA: Oryginalny egzemplarz z tego twego małżonka.

IRA: Nie ufa mi, sądzi podług innych żon.

NATA: Za wiele znał tych „innych“. Powiedz mi, ten Feliks, naprawdę on zakochany w tobie?

IRA: Eh, Roman, sobie uroił... On zawsze musi mieć kogoś w podejrzeniu. Zresztą to mi obojętne. Mnie najbardziej ze wszystkich podobał się mój mąż, póki rzecz prosta, nie stał się tak nieznośny. Eh, chwilami, nie do wytrzymania! I jeśli się nie zmieni, to ja, jak mamę kocham, nie wiem co zrobić, ale chyba ucieknę od niego, albo... albo naprawdę go zdradzę. Bo skoro mam tyle cierpieć, niech wiem przynajmniej, za co cierpię.

NATA: No, no, nie radzę.

IRA: Nieraz doprawdy zaczynam przypuszczać, że on mnie nie kocha, lub bodaj ma kogoś na boku.

NATA: Co też ty wygadujesz!

IRA: Daję ci słowo. Ta jego przeszłość, te bałamuctwa... Mogło tam coś pozostać z dawniejszych porachunków...

NATA: Ożenił się z przywiązania. Wiana mu nie wniosłaś.

IRA: To też wierzyć nie chcę. Jestem jednak bardzo, bardzo nieszczęśliwa.

NATA: Gąska z ciebie. Każdy mąż po upływie miodowych miesięcy, zmienia smak, kwaśniej. Zwykle zresztą następstwa nadżywiania słodczy.

(wchodzą z lewej Hela i Klima).

Co! wy w Warszawie?

(ściskają się).

HELA: Droga! Kochana!

IRA: Ja idę do mamy. (znika na lewo).

SCENA TRZYNASTA.

NATA, HELA, KLIMA.

NATA: Moje jedyne, cóż porabiacie? Klima o teatrze, Hela o uniwersytecie wciąż marzą?

HELA: Chciałabym coś działać, być użyteczną...

NATA (do Klimy): A twój Leon?

KLIMA: Nie ucieknie.

NATA: Kto wie.

HELA: Sprzykrzą mu się twoje fochy.

KLIMA: Właśnie fochy się nie przykrzą, tylko uległość i słodczy się przykrzą.

NATA: Zkądże takie pojęcia?

KLIMA: Z pensji.

NATA: Ładne nauki!

KLIMA: Ładne i pożyteczne. Z Leonem kłócimy się od rana do nocy, a coraz bardziej zacierzwiony... Żebyś była taka ślamazarna jak Ira, wyprawiałbyś mi awantury jak Roman.

NATA: Roman co innego. Tyloletnie urzędowanie w sądach kryminalnych w połączeniu ze zbyt „wesołą” przeszłością, mogły go zabarwić tak na czarno. Całe właśnie szczęście Iry, że łagodna—inaczej, jużby sobie dawno wydrapali oczy. Ale chodźmy, przywitam się z waszą mamą.

(odchodzi z Helą na lewo).

SCENA CZTERNASTA.

KLIMA, później LEON.

KLIMA (sama—krygując się w lustrze): Niechże mi kto powie, żem ja nie stworzona na scenę?... Wzrost, figura, rysy pociągłe, nawet szlachetny organ powonienia (wyciąga sobie nos) odpowiednio okazały... Wzrok ognisty, głos srebrzysty, tra la la la (śpiewa z odpowiednią mimiką arję z Hrabiny: „Zbudzić się z uludnych snów.” — Głębia wchodzi Leon i przygląda się niespostrzeżony. Zachwyt i ból malują się na jego twarzy. Po chwili Klima spostrzega go, zawstydzona się lecz wprędce nadrabiając miną, mówi): Cóż? spodobał się w tej roli? (śpiewa parę taktów dalej) Prawda?

LEON: Nie prawda.

KLIMA: He! nie? a to czemu, jeśli łaska?

LEON: Temu, że ja nigdy na ten teatr nie przystanę. Pani jest moja narzeczoną, zatem...

KLIMA: Zatem całkowicie od pańskiego „widzi mi się“, niezależną. Ponieważ narzeczona a żona, to nie jedno. To: dwa.

LEON: Skłonię ojca i ślub przyspieszymy.

(Klima śpiewa dalej z miną zuchwałą drugą strofę).

LEON: Co! może pani i ojcu opór stawia?

KLIMA: Całemu światu, jeśli pan chce wiedzieć. Gdzież kwiaty?

LEON: Al! kwiaty? Niema.

KLIMA: Czego niema? Róż niema w Warszawie?

LEON: Niema.

KLIMA: Dawaj pan. Schowałeś je umyślnie, by mnie drażnić (zagląda do jego kapelusza) Al! w przedpokoju (chce wybiedz).

LEON (zatrzymując ją): Nie mogłem dostać kwiatów, panno Klementyno. Niedziela, sklepy pozamykane.

KLIMA: Aaa! ależ ja o tem słyszeć nie chcę!

LEON: Przecież powiadam, że sklepy...

KLIMA: To niczego nie dowodzi.

LEON: Jakto?

KLIMA: Należało pukać od dziedzina.

LEON: Al! nie przyszło mi do głowy.

KLIMA: Tęga głowa.

LEON: Objechałem pół Warszawy.

KLIMA: Objedź pan drugie pół, rób co chcesz, byle kwiaty były.

LEON: Sklep odbiję?

KLIMA: Mnie do tego nic.

LEON: A to dalibóg, wszelka cierpliwość...

KLIMA: He? grozisz mi pan? Aaa! tego tylko nie dostawało!.. Myślisz może, iż się ulękne... Ojoj! rada będę, że się to wszystko raz skończy.

LEON: Skończy? Cóż to ma znaczyć?

KLIMA: Ma znaczyć, że skoro takiej bagatelki odmawiasz pan swej przyszłej—czegoż może spodziewać się żona?

LEON: Żona!.. Ha, jeśli takie jest pani przekonanie, to... t... rączki całuję.

(oddala się głębia—Klima biegnie i drzwi za nim zatrzaskuje).

LEON (wracając): Zamknij pani, zamknij na rygle. Możesz być pewną, że się nie będę dobijał. (znika i znów wraca) I nie wrócę więcej.

KLIMA: Tem lepiej. Mam już pana dość.

LEON: A ja pani aż za nadto!

KLIMA: Impertynent!.. Wychodź pan.

LEON (przy drzwiach): Całuję rączki (znika).

SCENA PIETNASTA.

KLIMA (sama): Mazgaj! niedołąga!.. Na parę marnych róż zdobyć się nie potrafi... Czekaj, zapłacę ja ci, niechno tylko zostanę artystką!.. (śpiewa dalej swoją arję — później mówi) Nie wróci — powiedział. — A i owszem, owszem, nie wracaj. (śpiewa dalej lecz coraz łzawiej) Nie wracał ojoj! (i mimo walki ze sobą, wybucha płaczem i ucieka na lewo).

(Leon wścibia głowę a nie widząc nikogo, wchodzi).

LEON: Kapryśnica! rozpieszczony dzieciak!.. Dużo z nią będę miał biedy! oj, dużo! — Chociaż to może i racja, że należało stukać od podwórza. Prawdopodobnie mógł ktoś znajdować się w mieszkaniu... Ah! (uderzając się w głowę) co za czerep tępy! co za mózgownica pusta! pusta!

(wybiegając, natyka się na Warecką i Helę).

HELA: Dokąd tak spieszo?

LEON: Rączki całuję. (znika głębia).

SCENA SZESNASTA.

WARECKA, HELA, później IRA.

WARECKA (z kartami): Eh, co mi tam zawracasz głowę swoimi moralami, moja Helu (tasuje karty, siada przed stołem, zbiera na trzy kupki, podgląda ostatnią kartę z kupki i rozkłada na kabałę) Ja ci powiadam, że Ira nie jest szczęśliwa, że się dręczy i basta... Ten Roman birbant był, hm, hm, całą gębą... A wiadomo, czem skorupka... ot, widzisz? patrz... znowu ta sama dama kierowa, co w tamtym pokoju... i dziewiątka pique przy niej — jego myśli. Raz, dwa, 3, 4, 5, 6, 7.

IRA (wbiega z lewej): Jaki budyń mama woli? Z szodonom czy z sokiem malinowym, mamó?

WARECKA (z ciężkiem westchnieniem, nie odrywając wzroku od kart): Z szodonom, moje biedne dziecko, oh! (ocierając oczy z łez) z szodonom. Tylko nie bardzo słodko, bo nie lubię.

(Ira znika na lewo).

WARECKA: Cała jej pociecha, że nie wie, nie przeczuwa (wzdycha i popłakuje nad kabałą, z prawej wchodzi Roman).

SCENA SIEDMNASTA.

WARECKA, ROMAN.

ROMAN: Mama, widzę, wierna swoim upodobaniom...

WARECKA (ze smutkiem): Tak, chociaż niestety częściej zmartwienie niosą mi one, niż radość. Moja Helu, przynieś no mi binokle z toalety.

(Hela oddala się na lewo).

Z umysłu wysłałam tę dziewczynę, bo pragnę z tobą pomówić w cztery oczy.

ROMAN: O! służę mamie.

WARECKA: Zięciu kochany, rozum twój, naukę cenią wszyscy — prawość charakteru również przyznają ci powszechnie.

ROMAN: Przejdźmy nad memi zaletami do porządku dziennego — dobrze, mamó?

WARECKA: Jeśli tedy, jako urzędnik, jako obywatel jesteś bez zarzutu, to jako mąż...

ROMAN: Aha!

WARECKA: Nie zupełnie wydajesz mi się odpowiednim dla mojej córki.

ROMAN: Czy trochę nie zapóźno kochana mama robi to spostrzeżenie? Ale czemuż tak, jeśli spytać wolno?

WARECKA (spokojnie): Temu aniołku, żeś... żeś dla niej — jakby to określić?... za... za stary! ufl

ROMAN: Mam lat 36, ona 23. Nie widzę tak strasznej różnicy. Mężczyzna powinien być starszy.

WARECKA: Nie przeczę. Lecz tyś starszy za wiele, starszy o lat...

ROMAN: Dwanaście.

WARECKA (spokojnie): O lat... sto (Roman się śmieje) Samolub jesteś, despotyczny jesteś.

ROMAN: Mamol

WARECKA: Ja córki swojej nie poznaję. Niewolnicę z niej zrobiłeś. Ani ona się ubrać, ani potańczyć, ani do teatru, ani na zabawę — nic, nic, nic!

ROMAN: Czy uskarżała się przed mamą?

WARECKA: Tego ona nie uczyni za nic w świecie.

ROMAN: Zatem to są przypuszczenia mamy?

WARECKA: Moje—i wszystkich, was otaczających, nie wyłączając służby.

ROMAN (z wymówką): Co? Już mama zdążyła rozpytywać się i służby? Aaa mamol

WARECKA: Wy tak nie żyjecie, jak na miłujące się stadło żyć przystało. Niema między wami spójni, niema przywiązania... Widzę to, czuję a i te karty.

ROMAN: Co! co! karty? (śmieje się) Ha, ha, ha.

WARECKA (ciągle b. spokojna): Karty powiadają więcej niż przypuszczasz. (patrzac w karty) Masz — lub miałeś stosunek z kobietą, blondynką. Raz, dwa, trzy...

ROMAN: Mamol Przeszłość nie należy do żony — tem mniej do świekry. Co było, było. Odkąd wszakże ożeniłem się...

WARECKA (patrzac w karty): Masz tajemnicę...

ROMAN: To fałsz.

WARECKA (czytając z kart): Masz tajemnicę, która ci czoło obleka chmurą... Lękasz się przyjaciół, by nie tylko nie zbałamucili ci żony — czem znowu obrażasz jej matkę, bo wychowałam ją w zasadach najczystszej moralności — lecz boisz się ich, by nie zdradzili twego sekretu, który prawdopodobnie znają. Drżysz tedy, truchlejesz. Raz, dwa, trzy, cztery...

ROMAN: Ja truchleję? Co też mamol.. I o co? dla czego?

WARECKA: By się nie dowiedziała żona.

ROMAN: Ale o czym? o czym? na litość Boską!

WARECKA: Że masz, 5, 6, 7 — kochankę!

ROMAN: Ja? (wybuchu śmiechem) Nie! słowo honoru, mama jest paradnal.. kochankę ja?... Moja mamol, mama jest tak zabawna, że ja: raz, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8! nawet gniewać się nie mogę.

WARECKA (spokojnie): Może już jej nie kochasz... coś jednak zostało ci z dawniejszego... coś... jak gdyby... Zbawicielu świat! jak gdyby... trzy, 4, 5 — jakieś maleństwo! (gniewne poruszenie Romana) Ja się duszko na tem znam. Bo choć wy tam sobie z matki nie robicie nic, zdanie jej uważacie za ba... i bardzo — równo serce matki czuje... czuje i nie myli się nigdy!.. Te zaś karty, raz, dwa trzy — utwierdzają mnie w tem przekonaniu. Tak, tak, mój zięciu; utwier-

dzają. Bo ja kabałę stawiam znakomicie. Chcesz? postawię i tobie? (tasuje karty) Zbierz.

(Roman wstaje).

I w cnotę kobiet nie wierzysz — i w serce matki nie wierzysz. — W cóż ty nakoniec wierzysz biedaku, w co?!

ROMAN: Dajmy temu pokój, proszę. Co zaś do Iry, upewnić mamę mogę, że ją kocham z całej duszy, że pragnę jej szczęścia bardziej niż własnego, że żadnych stosunków po za domem nie mam i mieć nie będę. Reszta nie należy do nikogo.

WARECKA (wstaje): Niestety, należy i reszta — ponieważ z drobnych a ciągłych niesnasek wyradza się w małżeństwie rozdwojenie, które w miarę lat rośnie, aż z małżonków robi wrogów. Radzę, zastanów się nad tem i nie bądź tak zarozumiałym (zabiera karty i skinąwszy mu głową, znika na lewo — głębią wchodzi Leon z pękiem róż Mareschal, które kładzie na stole).

SCENA OŚMNASTA.

ROMAN, LEON.

ROMAN: Panie Leonie, powiedz mi, jakim sposobem umysł płytki, ba, graniczący niemal z kretynizmem, zdobywa się niekiedy na uwagi wcale racjonalne?

LEON: Definicja pańska jest nie jasna. Nie rozumiem.

ROMAN: Jest nie jasna, ponieważ jest głęboka — a co jest głębokie, nie może być jasne, to jasne! (odchodzi na prawo).

LEON (sam): I znowu młynka wywinął — podług zwyczaju.

(wchodzą z lewej: Nata, Hela, Klima).

NATA: Ah, jakie cudne róże? Od kogo to panie Leonie?

LEON: Od... ogrodnika.

NATA: Przypuszczam, że nie od... piekarza. Ale dla kogo?

LEON: Dla tego, kto je wziąć raczy.

NATA (do Klimy): Nie domyślasz się?

KLIMA: Wcale. Najpierw, niecierpię róż wogólności a żółtych w szczególności.

HELA: Moja droga, po co ty wiecznie wyprawiasz te grymasy? Wstyd mi doprawdy za taką siostrę.

KLIMA: Wstyd jej! proszę! jaka mi wstydliva!

LEON: Ja zawiniłem, przyznaję — ale p. Klementyna jest tak nie wyrozumiała...

KLIMA (z oddali): Tylko proszę o mnie ani słowa.

LEON: Rączki całuję. Ani o pani, ani do pani.

NATA (strojąc się w róże i chcąc jedną przypiąć Klimie): Toż skoro winowajca woła: mea culpa!..?

KLIMA: Nie chcę, nie chcę — (ciszej) chyba, że mnie przeprosi...

NATA: Panie Leonie, skoroś zawinił...

LEON: Przepraszę teraz, to za godzinę będzie nowa wojna o co innego. Całuję rączki.

KLIMA (chwytając kwiaty ze stołu, szarpie je i rzuca na ziemię): Ah, żebym mogła to samo zrobić i z panem!

LEON: Na szczęście, jestem z trwalszego materiału. Pierwej gniewała się pani, że nie przyniosłem kwiatków — teraz gniewa się pani, że je przyniosłem. Uwielbienia godna loika!

KLIMA (płacze ze złości): Oh, oh, oh!

LEON (po chwilowym pasowaniu się ze sobą — na widok jej łez): No, no, Klimusiu, daj rączkę, pocałuję (całuje po rękach dasającą się dziewczynę).

NATA (wybuchając śmiechem): Ha, ha, ha. Ah, jakżeś pan nie mądry! Jakżeś pan nie mądry!.. (do Klimy) Wiesz ci, będziesz z nim bardzo szczęśliwa! ha, ha, ha!

(wchodzi głębią Tadeusz i Feliks)

SCENA DZIEWIĘTNASTA.

NATA, HELA, KLIMA, LEON, FELIKS, TADEUSZ — później
WARECKA, IRA — później ROMAN.

TADEUSZ: Są bilety!.. Taki tłok, że ledwie zdobyłem kilka.

(wchodzi Warecka z Irą).

A i druga dobra nowina. Spotkałem Małeckiego, przyrzekł przyjść za godzinę.

(Warecka dziękuje).

FELIKS (podając Irze bukietik fiołków): Ulubiony pani, najskromniejszy z kwiatków. Qui se ressemble s'assemble.
(Ira biorąc, dziękuje).

ROMAN (wszedłszy z prawej): Cóż to za zielsko ofiarujesz pan mojej żonie!.. (odbiera z rąk Iry bukietik i wyrzuca za okno).

IRA (ledwie hamując gniew — do Feliksa): Przepraszam pana za mego męża. Cierpi on niekiedy podobne napady... niepoczytalności.

FELIKS (na stronie): Gbur!

(wpadają głębią Anusia i Walenty przerażeni).

SCENA DWUDZIESTA.

CIŻ, WALENTY, ANUSIA.

ANUSIA, WALENTY (razem): Proszę, proszę państwa!

WSZYSCY: Cóż tam?

ANUSIA: Okropny wypadek!

WARECKA: Panno Najświętsza!

ROMAN: Cóż takiego?

(ogólne przerażenie, wszyscy otaczają służbę).

ANUSIA: Boże! Boże!

(Ta scena winna iść bardzo szybko).

ROMAN: Prędzej.

WALENTY: Kucharka...

HELA: Zabiła się?!

WALENTY: Na chwilę wyszła z kuchni...

ANUSIA: Gdy w tem...

IRA: Cóż?

ANUSIA: Ano dziecko, proszę pani, podrzucili nam dziecko.

WSZYSCY: Co! co takiego?

WARECKA: Dziecko?

ANUSIA: Tak, proszę starszej pani — pod samiutkie drzwi.

ROMAN: Ale kto? kto!

NATA: No, bocian pewno — któżby inny.

ANUSIA: Nie wiadomo, proszę pana. Nikogo nie było w sieni.

WALENTY: Ja w te pędy poleciałem do bramy, do stróża. Nikogo ani oko.

ANUSIA: A dzieciak się drze, mało się nie rozedrze.
(Wszyscy spoglądają po sobie zdziwieni, przerażeni. Feliks z Tadeuszem uśmiechają się złośliwie).

WARECKA: Matko wielkiego Miłosierdzia!

IRA: Straszne rzeczy!

WARECKA: Tutaj, wam?.. Romanie?

ROMAN: Cóż mam?

WARECKA: Czyje ono?

ROMAN: Zkądże ja u stu djabłów wiedzieć mogę!

WARECKA: Romaniell

(Wszyscy zaczynają podejrzliwie spoglądać na Romana, pytać go wzrokiem).

IRA (wystraszona): Mamol.. Co mama myśli? mamol!

ROMAN: Ah! (wybiega głębią — służba za nim).

WARECKA (z okrzykiem tryumfu): A co kabała! kłamię kabała? (wybiega głębią, za nią wszyscy; pozostają tylko Ira i Hela).

IRA (padając na kanapę): O ja nieszczęśliwa!

HELA (z czułością — pochylona nad nią i ujmując jej rękę): Irenko!..

Z A S Ł O N A.

Koniec aktu pierwszego.

Akt II-gi.

Dekoracja ta sama.

SCENA PIERWSZA.

IRA, HELA — później wszyscy.

(Ira siedzi na tem samym miejscu, tylko jakaś zaciętsza, gniewniejsza).

HELA: Ależ Iruś, nie bierz że tego tak do serca. Nie martw się, nie rozpaczaj.

IRA: O ja nieszczęśliwa!

HELA: Spokoju, spokoju więcej — to być nie może, by Roman... nie! On szczerze przywiązany do ciebie. Dziwak trochę, zazdrosny, ale cię kocha! kocha!

IRA: Sama nie wierzysz temu, co mówisz.

(Wszyscy powracają z Warecką na czele. Walenty niesie małą, 3 letnią dziewczynkę).

WARECKA (do Iry): Oto podarek, który ci twój pan małżonek przygotował na rocznicę ślubu.

HELA: Niechże jej mama nie dręczy. Przecież to wi-
docznie jakaś pomyłka. Lada moment rzecz się wyjaśni.

WARECKA: Wątpię — zacny pan zięć bowiem odmawia
wszelkich wyjaśnień.

ROMAN: Jakichże u kroćset mama żąda wyjaśnień,
kiedy ja sam nie wiem nic. Ani zkad się wzięło, ani czyje,
ani dla czego? ani po co?

WARECKA: Michałki!

ROMAN: Iro droga, toż chyba ty...

FELIKS: Ktoby ci jednak mógł wypłatać podobnego
figla? Nie przypominasz sobie?

ROMAN (groźnie): Co?!

FELIKS: To jest, nie domyślasz się?

ROMAN: Czyś oszalał!.. Iro kochana...

IRA: Daj mi spokój.

ROMAN: Jaktol czyżbyś i ty!...

IRA: Daj mi spokój, mówię.

ROMAN: No jeśli i ty, wraz z niemi... Ależ to istny
obłąd, szaleństwo!.. Miejcież państwo rozum, zastanowienie...

WARECKA: Serce się kraje, patrzeć na to biedactwo!
Boć to dziecko przecie! niewinne!.. Biegaj Walenty po su-
charki dla niej. Anusia, przynieś mleka. Dostaniesz, mleczka
aniołku.

(układają dziecko na sofie, w głębi — służba biega).

KLIMA: Przynajmniej, że ucichła, bo aż mi w uszach
dudni od tego wrzasku.

HELA (w głębi): Uśmiecha się.

WARECKA: Czuje kruszyna, że tu są kobiety z sercem.
Ja do dziecka nie roszczę pretensji.

ROMAN: Tylko do mnie, naturalnie! A to zwarzować,
przysięgam Bogu! Walenty, rzuć do diabła tego bębna a leć
na policję dać znać, że nam tu jakaś hultajka poważyła się...

WARECKA (przerywa): Ależ ty się jej nie wyprzesz!..
Kubek w kubek ty! twoje rysy. Spójrz, przyjrzyj się — ten
sam nos, czoło...

ROMAN (zły): Wąsy! tak.

HELA: Moja mamo, jakżeż można prosty przypadek,
podnosić do znaczenia.

NATA: Istotnie, pani droga, nie godzi się tak lekko-
myślnie...

WARECKA: Więc dlaczego, pod jego drzwiami aku-
ratnie?

LEON: Bo nareszcie pod czyjeś położyć potrzeba, sko-
ro się zapragnęło pozbyć kłopotu. Nie idzie wszakże zatem,
by właściciela mieszkania czynić odpowiedzialnym.

WARECKA: Za wiele tu poszlak, by...

ROMAN (na stronie): Ah, z jakąż rozkoszą nadkręcił-
bym jej karku!

NATA: Nie, pani, nie — ja także podzielam zdanie pa-
na Leona.

WARECKA: Pan Leon za młody jest, by mógł wyro-
kować w tej sprawie. Tu są osoby starsze, doświadczeńsze.
Panie Feliksie, panie Tadeuszu powiedzcie, czy przysłoby

na myśl obcej zupełnie kobiecie, zwrócić się z podobnym...
upominkiem — do nieznanego sobie domu?

FELIKS: Ph... ph... nie wiadomo — zresztą kto wie,
może... może...

TADEUSZ: Wszelako... być może, rzecz prosta —
wszelako...

ROMAN: Wszelako!... ha, ha, ha. Dziękuję wam za
taką obronę. Na szczęście niczyjej obrony nie potrzebuję.
Boli mnie jedynie, że Ira tak mało dotąd mnie poznała, iż
bodaj na mgnienie oka przypuścić gotowa... Cóż Iro moja?
(Ira odwraca się od niego, ciągle chmurna).

(Walenty przyniósł sucharki, Anusia szklankę mleka, Wa-
recka karmi małą. Wszyscy pomieszani, zakłopotani, to za-
glądają do dziecka, to szepcą między sobą, kręcą się i t. p.).

WARECKA (do małej): Porzuciła cię mamusia... Nie
dobra mamusia.

ROMAN (ze wściekłością na str.): Oh! oh!

WARECKA: Patrzcie, jak zajada z apetytem.

ROMAN (szydząc): Co za szczęście!

NATA: Śliczna dziewczuszka.

ROMAN (do Heli): Pomów Helo z żoną. — Ty jedna
masz tu trochę rozsądku.

HELA (z uśmiechem): Trochę?

ROMAN: Pogadaj z nią, wytłumacz. Ja pobiegnę do
stróża, może powezmę języka. Przecież ta nędznica, musiała
się tu kręcić po sąsiedztwie, badać miejscowość, zanim zde-
cydowała się na krok stanowczy.

(Wybiega głębia — Walenty za nim).

SCENA DRUGA.

Ciż, bez ROMANA i WALENTEGO.

WARECKA: I cóż wy na to?... Wierzycie mu?

FELIKS, TADEUSZ: Hm, hm, hm (chrząkają znacząco).

WARECKA: To nie odpowiedź.

FELIKS I TADEUSZ (j. w.): Hm, hm, hm.

WARECKA: Słowem, że kłamie. Jakaś kochanica.

NATA: Nie pani, nie. — To być nie może.

HELA: Zbieg okoliczności, nic więcej.

LEON: Sędzia jest człowiek uczciwy.

(Klima przez ten czas siedzi przy fortepianie, przegląda nu-
ty, czasem coś zanuci, uderzy akord, zgoła nie zajmuje się
całą tą sprawą. Leon przy niej).

WARECKA (do Iry): No, a ty? Jakież twoje przeko-
nanie? Mów — coż się tak zacięła w milczeniu?

IRA: Cóż mam mówić?

WARECKA: Wierzysz mu? twoje szczęście.

IRA: Porzucam go. Życ z nim nie chcę.

WSZYSCY: Co! co! (ogólne zdumienie).

NATA: To za surowo!

HELA: Zastanów się.

WARECKA: Ma słuszość. Ja sama nakłaniałabym ją
do tego kroku, gdyby, gdyby nie arcy ważna kwestja, której
przy całym, najślusniejszem oburzeniu lekceważyć nie wol-
no — to, to kwestja utrzymania. (do Iry).

IRA (lekceważąco): At!

WARECKA: Tak się to mówił Majątku nie posiadasz.

IRA: Będę dawała lekcje.

HELA: Sama nie wiele umiesz.

IRA: Wezmę się do igły.

NATA: Idem.

IRA: No, to pójdę do służby a z nim żyć nie będę! Taki to on! taki to on! Taka jego wierność, przywiązanie.

HELA: Ależ nie można tak bez przekonania się, bez sprawdzenia.

TADEUSZ: Istotnie — nie podobna przypuścić, by zaraz w pierwszym roku...

NATA: Rzeczywiście!... W drugim, to co innego.

TADEUSZ: Kiedy bo z panią...

WARECKA: Bo choćby on tam i płacił alimenty, to... Zresztą coby na to ojciec! okolica?

IRA: Zdradza mnie! oh! (wszyscy ją otaczają, perswaduują) Nie! nie! ah, dajcie mi spokój — to napróżno. Nie cofnę, com postanowiła, nie!... Powiedzcie mu to odemnie, bo ja go nawet i widzieć nie chcę — (do Feliksa i Tadeusza). Panów prosić będę na naradę prawną — ale nieco później, bom teraz zanadto wzburzona.

(odchodzi w głąb i siada na fotelu, odwrócona od wszystkich).

WARECKA (zajrzawszy do malej): Usnęła!... Ah, żeby mi wpadła w ręce ta ładaczka.

ANUSIA (zajęta do tej pory około dziecka): Eh, proszę starszej pani, może i ona, jak ten podrzutek niewinna!

(wszyscy w śmiech).

FELIKS: Co? co ty pleciesz?

ANUSIA: A cóż, proszę państwa, to nędza, opuszczenie, głód!... Nie była znać w możności wyżywić siebie i dzieciaka... to ciężko, bardzo ciężko. Panie tego nie wiedzą ale ja wiem! oj wiem!

KOBIETY: Ty?

WARECKA: Czyżbyś i ty?

ANUSIA: Ojoj! niech mię Panienska Najświętsza uchowa!... Nie ja — ale miałam siostrę — świeć Panie jej duszy — bo już na Boskim Sądzie, nieboga! Szwaczką była, proszę pani. A co to była za robotnica! w rękach jej się paliło. Dwadzieścia pięć rubli na miesiąc brała w magazynie. Zadurzyła się, biedactwo, w jednym, co nie był jej równy — z wyższego stanu niby... Zadurzyła się bez pamięci!... Zaufała jego gładkim słówkom, zakłębom i... no! i stało się nieszczęście! Z magazynu wyforowali — rób co chcesz! Zadużyła się, sfantowała biedaczka, sił do roboty coraz mniej a i o robotę coraz trudniej. — Z czego tu wyżywić siebie i... prychówek? Ani z nim do obowiązku, ani za co umieścić na garnuszek.

HELA: A ojciec?

ANUSIA: Ojciec? ha, ha, ha! ojciec!... Ojców nigdy nie masz, proszę pani. Są jeno kawaliry, psubraty, co mania, gubią młode dziewczęta a później czmychają lajdaki do stu djabłów, żeby nie dać kilku rubli! ha!

HELA: Infamja!

ANUSIA: Ty zaś biedoto, rób co chcesz, top się, wieszaj, zdychaj z głodu, idź do kryminału lub gorzej jeszcze, byle on nie dał kilku rubli! oh! oh! oh!

NATA (z oburzeniem): Ah! cóż dalej?

ANUSIA: Ano cóż? gryzła się, borykała z nędzą i ludzkim obmowiskiem, bo ludzie, proszę pani, gorzej psów: huzia na tego, co padł, nie na tego, co go w przepaść wtrącił — aż się zagryzła. A ten gałgan, nawet na pochówek nie dał! Dopiero ja musiałam z własnej kieszeni... (Feliks z Tadeuszem gniewni, przechodzą koło niej) Ojoj! ojoj! jak oni spojrzeli na mnie!... Pewnikiem tacy sami! A ja głębiej rozpuściłam, o la Boga!

WARECKA: A dziecko?

ANUSIA: Poszło za matką, niebożátko. (płacz) Więc ja litość dla takich nieszczęśniczek, proszę pani, znam... bom się zbliża patrzyła na ich los okrutny! hu, hu, hu. (płacz, wszystkie kobiety także, nie wyłączając Iry. Klima zaczyna grać coś bardzo smutnego — płacz silniejszy i łkanie, wchodzi Roman).

SCENA TRZECIA.

CIŻ I ROMAN.

ROMAN: Stróż nie zauważył nikogo, jak zwykle zresztą stróż. (kobiety z hałasem ucierają nosy — Roman zdziwiony).

Cóż to za katar gremjalny?

WARECKA: To nie katar — to płacz, to łzy nad nie-

godziwością mężczyzn, co się krwi własnej, swego potomstwa zapierają.

(Ira odchodzi na lewo).

ROMAN: Na Boga żywego, niechże mama raz już z tem głupstwem przestanie, bo na honor wściec się można (do Anusi) Zanieś tę znajkę do Przytułku i niech o niej nie słyszę więcej.

WARECKA: Wyrodku bez serca i sumienia!... Ale ja na to nie pozwolę, nie! Będę chowała tę sierotkę, tak, sierotkę, choć ma ojca i matkę. Zabieram ją na wieś.

ROMAN: Brawo! przyda się do pasania gęsi.

WARECKA: Nie do gęsi. Jako moją wnuczkę z lewej ręki, we dworze, jako córkę mojego zięcia, chować będę — tak!

ROMAN: Co! oh, do milion kroć, tego już nadto! Skoro mówię, że tu bez winy, to trzeba mi wierzyć, milionset!... Ale dojdę, dojdę, do wszystkich djabłów, choćbym miał niebo i piekło poruszyć, dojdę! kto mi tę nikczemną psotę wypłatał!... Zarządę śledztwo, roześię agentów i wytropię łotrzycę! (do Anusi) Palto, kapelusz.

(Anusia podaje — on się ubiera i wybiega głębia — Anusia za nim).

WARECKA: Michałki! Wie on dobrze, gdzie jej szukać. — Ale i my dowiemy się niebawem (tasuje karty — do Heli). Zbierz — (rozkłada karty, wchodzi Walenty z biletem na tacy).

SCENA CZWARTA.

CIŻ I WALENTY.

WALENTY: Jakiś pan nie młody.

KLIMA (czyta): Jan Malecki, profesor śpiewu.

TADEUSZ I FELIKS: Malecki!

WARECKI: W takiej chwili, Boże!

HELA (do Walentego): Przeproś!

TADEUSZ: Nie, nie, nie można: obrazi się.

FELIKS: Drugi raz, nie złowimy go.

KLIMA: Nie ma rady — trzeba przyjać.

WARECKA (do Walen.): Proś.

(Walenty odchodzi. Na scenie robi się ruch. Wszyscy przygotowują się na przyjęcie Maleckiego. Hela uprowadza małą na lewo i nie zadługo wraca. Leon cofa się ku oknu, Klima szykuje nuty i t. p. Malecki wchodzi — siwy — głowa piękna, artystyczna).

SCENA PIĄTA.

WARECKA, NATA, KLIMA, LEON, FELIKS, TADEUSZ,
MALECKI, HELA.

TADEUSZ (przedstawiając): Profesor Malecki. Pani Warecka a to przyszła prima donna!

(Klima dyga).

WARECKA: Wdzięczna nieskończenie p. profesorowi.

MALECKI: Obym tylko mógł przydać się na co. (do Klimy) Pani już co śpiewa?

WARECKA: O! bardzo wiele. — Zaśpiewaj p. profesorowi arję z Hrabiny.

MALECKI: Oh, oh, a zaraz arje! Zobaczymy. (siada do fortepianu) Służę pani. (Klima z nutami staje obok i zaczyna śpiewać, rozumie się nie umiejętnie. Malecki krzywi się, poddaje ton, wreszcie zniescierpliwiony) Za pozwoleniem, dajmy pokój arjom. Może pani zechce spróbować gamę: do, re, mi, fa (akompanjuje do gamy, próbuje solfedziów, trafiania interwałów — nic nie idzie).

WARECKA (do sąsiadów): Nie pojmuję czego żąda ten pan? Umyślnie myli ją i onieśmiela... To jakiś śle dziennik!

LEON: Nie, tylko widocznie p. Klementyna...

WARECKA: Cóż? Skończoną śpiewaczką nie jest, ale talent...

MALECKI: Pani nie uważa. Proszę tę nutę czyściej, czyściej — so, la, si, do. Zawsze jesteśmy o jakie ćwierć tonu niżej lub wyżej. — Proszę powtórzyć (ona chybia).

WARECKA: Ależ proszę p. profesora, ona się załękła, ona dziś nie jest usposobiona, zresztą obawa, trema.

MALECKI: Nie przeczę, pani dobra. — Obawa swoją drogą a... wolno być szczerym?

WARECKA, LEON: Prosimy, prosimy.

MALECKI: A brak ucha — swoją drogą.

WARECKA: Jakto? p. profesor utrzymuje?

MALECKI: Ani jeden ton nie wychodzi prawidłowo. Brak słuchu absolutny przytem i skala krótka.

WARECKA: Chyba żarty.

MALECKI: Aaa, pani dobra, nigdybym się nie poważyl.

WARECKA: Zatem p. profesor sądzi?

MALECKI: Że lepiej cofnąć się od razu, niż zmarnować kilka lat pracy, mozołu i mnóstwo grosza bezowocnie.

KLIMA: Ah panie!

MALECKI: Przepraszam, stokrotnie przepraszam. Zre-sztą, proszę nie poprzestawać na mojem zdaniu, proszę udać się do innego nauczyciela. Może ja się mylę, może nie umiałem się poznać. (biorąc kapelusz) Przykro mi niezmier-nie (przechodząc koło Tadeusza i Feliksa). Dziękuję wam. (znika głębia, Tadeusz za nim).

WARECKA: Grubjanin!... i takiego właśnie sprowadzi-liście nam! oh!

FELIKS: Nie mogę wyjść z podziwienia, słowo honoru, pobiegnę za nim. (wybiega).

KLIMA: Cała moja nadzieja, sny tryumfów, wszystko, wszystko stracone! oh! oh!

WARECKA: Kiedy to jakiś zjadliwiec! On tak z umy-słu, żeby nas struć!

KLIMA: Potrzebnie mnie mama tyle czasu łudziła!

WARECKA: Masz tobie, teraz ja winnam! Ah dzieci, dzieci, nie dokuczajcie mi wy jeszcze, bo doprawdy, rozcho-

ruję się i umrę i zostaniecie bez matki, sierotami. (płacze)
O Jezu, Jezu, Jezu! oh, oh! oh!

(odchodzi, płacząc, na lewo, Nata, Hela za nią).

SCENA SZÓSTA.

KLIMA, LEON.

(Klima zła, upokorzona, chwytą nuty z fortepianu i drze).

LEON: Co pani robi! cóż nuty zawiniły?

KLIMA: To moje nuty! oh! oh! (otwiera okno i chłodzi się) Nie mam głosu, nie mam skali, nie mam nic, nic, nic!

LEON: Droga p. Klimo, czyż warto o taką drobnostkę...

KLIMA: Uszu nie mam, słyszałeś pan?

LEON: Albo to prawda! Jeszcze jakie zgrabne!

KLIMA (gniotąc nuty i ciskając na ziemię): Oh! oh!

LEON: Jeśli to potrzebne do uspokojenia nerwów, to proszę (podaje nuty) a nawet pomogę. (ciska nuty i depce).

KLIMA: Ja tego nie przeżyję!

LEON (śmieje się): He, he, he.

KLIMA: Pan się śmieje!... Pan się zawsze śmieje, ile-kroć ja się złościę lub płaczę.

LEON: Nie złość się pani tak często a wywołasz więk-sze wrażenie.

KLIMA: Nie potrzebuję pańskich wrażeń, ani marzeń, ani zdarzeń!

LEON (żartobliwie): Doprawdy?

KLIMA: Tylko chcę zostać w spokoju, robić, co mi się podoba: płakać, drzeć (drze nuty) niszczyć (depce nogami).

LEON: Jeśli to się nazywa pozostawaniem w spokoju... (podaje plikę nut).

KLIMA: Ah! co za życie! (chwytając nuty z jego rąk, ciska mu na głowę i ucieka).

SCENA SIÓDMA.

LEON, później ROMAN.

LEON (zagłuszony sam, po chwili): Eh, do króćset! czy to czasem nie za grubo!... Taka pasjonatka! Cóżby to dopiero po ślubie.

(przechadza się w zamyśleniu po scenie, co chwila odrzucając nogą papiery, bierze kapelusz, odkłada go napowrót, gra niema, oznaczająca wahanie, namysł... Nakoniec z determinacją chwytając kapelusz, wciska go sobie po same oczy i zwracając się ku lewej).

Rączki całuję (chce odejść głębia, uderzając się o wchodzącego Romana — obadwaj): Aj!

ROMAN: Żywej duszy w biurze. — Niedziela. Ah panie, te awantury, ta mama!

LEON: I córka nie lepsza, Lucyper! patrz pan.

ROMAN: Cóż to jest?

LEON (wskazując na podłogę): Trofea wojenne p. Klimy! Całuję rączki.

ROMAN: Odchodzisz pan?

LEON: Przejść się trochę i... i namysleć. Rączki całuję (znika głębia).

ROMAN: Oj, oj, jakiś djabeł wyrzał mu z pod powiek (spogląda za nim — z lewej wchodzi Ira z Klimą).

SCENA ÓSMA.

IRA, ROMAN, KLIMA.

KLIMA (w dalszym ciągu do Iry): Bo widzisz, ja się zagalopowałam.

IRA: Eh, co tam wy! Wy sobie dziesięć razy na dzień skaczecie do oczu, niby dwa koguty i dziesięć razy się goździcie. Nie ma niebezpieczeństwa.

KLIMA: Ale nie tym razem. Tym razem było za wiele (rozglądając się). Co to? Nie ma go? (z trwogą) Poszedł!

ROMAN: Poszedł i jakoś dziwnie zdeterminowany. — Znać panienka przeholowała!

KLIMA (przerażona): Poszedł! (wybiega do przedpokoju i wraca). Boże! Boże!... (biegnie do okna) Nikogo!... Co ja zrobiłam! co ja zrobiłam! Mamol! mamol!

(wybiega na lewo).

SCENA DZIEWIĄTA.

ROMAN, IRA.

(po odejściu Klimy, chce oddalić się i Ira, Roman ją zatrzymuje).

ROMAN: Za pozwoleniem. — Siadaj (sadza ją) i po-

gadajmy rozsądnie (siada przy niej). Jestże możliwem, abys ty mię posądzała o takie bezceciństwo?

IRA: Czy możliwem? Ależ to moje najgłębsze przekonanie!.. Cała twoja przeszłość dowodzi, jak na dłoni, że...

ROMAN: Przeszłość ta była lekkomyślna, przyznaję lecz nie nikczemna. Nigdy nie bałamucił panien, nie zła-mał niczyjego życia.

IRA: Co za subtelności!.. A iluż oszukałeś przyjaciół! ile kobiet sprowadziłeś z drogi cnoty! Zdrada! zdrada! zdrada!

ROMAN: Jakżeż zdrada? Mała — przypuściwszy nawet, że zostaje ze mną w pokrewieństwie — co nie jest: mała liczy z górą lat trzy. My od roku dopiero jesteśmy poślubieni — ergo.

IRA: Zdrada w tem, żeś mnie nie uprzedził w czasie właściwym, t. j. przed ślubem, o... ciążyących na tobie obo-wiązkach.

ROMAN: Uczyniłbym to był, bądź pewna, gdybym znaj-dował się w podobnem położeniu, ale klnę się na honor...

IRA: Daj pokój, daj pokój.

ROMAN: Nie wierzysz? Jakże cię przekonam? Zostaw-cie mi przynajmniej trochę czasu do poszukiwań, do śledz-twa, zanim mnie potępicie! Dziś święto, ręce mam związane-

IRA: Zwycię wykręty.

ROMAN: Ah Iro, nie wyprowadzaj mnie z cierpliwo-ści... Czyż nie wiesz, że nic tak nie boli jak nie słuszne po-sądzenie?

IRA: Wiem, wiem doskonale. Od roku karmisz mię niem, bez przestanku. Wiem.

ROMAN: Od roku? Co też ty.

IRA: Nie zaręczę, czy bodaj jeden miesiąc żyliśmy szczęśliwie. Od pierwszego niemal tygodnia zaczęły się sce-ny zazdrości, podejrzeń... Na kogo spojrzałam, do kogo przemówiłam, uśmiechnęłam się, wszystko było notowane, ko-mentowane, wymawiane, potępiane!.. Boże Wielki, jakież ty miałeś pojęcie o mnie!.. Ale teraz rozumiem, źródło złego, to: „Zbytek doświadczenia“! Jesteś: „zbyt doświadczony“! Broiłeś sam i myślisz, że takimi jak ty, są wszyscy. Być może. W każdym razie, nie ja. Wychowana skromnie, o wy-stępku nie wiedziałam prawie.

ROMAN: Pozwól.

IRA: Jednak i te twoje brutalstwa i te nie uzasadnio-ne podejrzenia znosiłam cierpliwie, póki sądziłam, że mnie kochasz, żeś mi wierny... Kobieta dla miłości przebacza wie-le, przebacza wszystko. Skoro wszakże przekonałam się o twoich niegodziwościach, już mi tego za dużo!

ROMAN (z ironją): Przekonałaś się!

IRA: Surowym, bezwzględny być dla niewinnych, dla czystych, kiedy się samemu takie grzechy ma na sumieniu, zgroza! I to „on“ nie szanował mnie, nie ufał! on! on! on! Taki bezwstydnik! taki rozpustnik! (gniewne poruszenie Roma-na) Tak! rozpustnik!

ROMAN (j. w.): Hm, hm, nie wiedziałem, że posia-dasz podobny temperament, hm, hm.

IRA: Więc też powiem ci, chłodno, spokojnie, bez „tem-peramentu“:—Rozejdźmy się.

ROMAN (z przerażeniem): Co! co! co ty mówisz?!

IRA: To, co myślę i zrobię. Za długo tej męki! Ty

mi nie wierzysz, dręczysz na każdym kroku, ja przestałam wierzyć tobie, przestałam cię szanować. Jest że możliwem dalsze pożycie w podobnych warunkach? powiedz sam?

ROMAN: Ależ ty się nie zastanowiłaś, ty sobie nie zdajesz sprawy z własnych swoich słów...

IRA: Owszem, najdokładniej. Tylko tobie nie znany jest pewien rys mojego charakteru. Otóż, ja muszę poważać tego, kogo kocham, z kimem połączona na wieki. Inaczej nic z kochania, tem samem i z wspólnego pożycia.

ROMAN: Skoro ci tłumaczę, przysięgam, toż mi wierz, do milionset! bom ja człowiek honorowy i słów nie rzucam na wiatr!

IRA: Eh, wszyscy przechwalacie się waszym honorem a postępujecie gorzej ostatnich... Dowód—jak mówi Anusia, że nigdy nie ma ojców!

ROMAN: Jaka znowu Anusia? Co za ojcowie? Twoja mama, do kroćset, narobiła całego tego piekła! Zamiast rozeźmiać się z głupiego „qui pro quo” — nuż burzyć, jużyc wszystkich, aż wywołała tę ot awanturę.

IRA: Nie mama, nie.—Twoje to sprawki są przyczyną, że ty nam a my nie ufamy tobie.

ROMAN: Toż daję ci słowo najświętsze, że odkąd po-
braliśmy się...

IRA: He, he, z ciebie mówca słynny! Swadą swoją porywałeś kobiety, wiem, wiem.—Ale mnie nie oszukasz. Mnie otworzono oczy na twoje „figle”.

ROMAN: Ja oszaleję!

IRA: Właśnie nadarza się wyborna sposobność upo-
rowania naszego rozejścia. Ty wyjeżdżasz na posadę—ja po-

zostaje w Warszawie, celem zwinięcia domu, sprzedaży mebli i t. p. Później pojedę na wieś, do rodziców z pożegnaniem. Ludzie przywykną, zapomną o nas — i tak, bez skandalu, powoli, stopniowo...

ROMAN: Ależ ja na to nie przystanę nigdy — nie potom się ożenił, by...

IRA: Zabierzesz sobie „swoich” i będziesz miał rodzinę. Zresztą, to już postanowione.

ROMAN: Postanowione? taak?.. Ha, to róbże sobie do trzysta, co ci się żywnie podobał.. Rozwódź się, separuj, jedź do rodziców, byle niech się to piekło raz skończy — bo nareszcie i ja odetchnąć potrzebuję.

(odchodzi na prawo).

IRA: Ah, co za zakamieniały grzesznik, nawet przyznać się nie chce! (z gł. Feliks).

SCENA DZIESIĄTA.

IRA, FELIKS.

IRA (po przywitaniu): Siadaj pan, proszę. Chciałam się z panami rozmówić, w kwestji rozvodu... Jakto zrobić? gdzie się udać? (Feliks milczy): Ah panie, gdybyś był znał, marzenia moje dziewczęce...

FELIKS (z uśmiechem): Domyślam się! Panienki wyobrażają sobie męża, jako zbiornik wszelakich doskonałości— tymczasem Stwórco Miłosierny!.. Właściwie jednak na co pa-
ni rozwód? Czy aby powtórnie wejść w związki małżeńskie?

IRA: A niech mię Bóg uchowa. — Aby z nim nie żyć.

FELIKS: A dalej?

IRA: Dalej, nic.

FELIKS: Myślisz pani tak samotna pozostać w swoim wieku?.. Czyż to on jeden na świecie? Innych mężczyzn brak już? Innych, godnych kochania?

IRA: Dla mnie?

FELIKS: Pani droga, czyż tylko obrączka ślubna budzi w sercu uczucie? Tylko stula je utrwala?

IRA: Sądzę.

FELIKS: Myli się pani. Małżeństwo się przeżyło. Wiek obecny, to wiek indywidualizmów. W małżeństwie zaś kobieta czemuż jest? Zerem, niewolnicą.

IRA (z westchnieniem): Oj, to prawda.

FELIKS: Człowiek nie powinien woli kuć w kajdany — ani swojej, ani cudzej!.. Jesteśmy razem, póki się kochamy. Serce pociąga nas w inne strony, rozłączamy się polubownie, bez gniewu, bez żalu, bez łez!.. Daliśmy sobie wszystko, cośmy dać mogli, reszta nie zależy od nas. Cóż może być rozsądniejszego, naturalniejszego? Najczystszy modernizm... Jakże pani sądzi?

IRA: Sądzę, że podobnym modernizmem rządzą się czworonogi i to nie od dzisiaj.

FELIKS: Pojęcia zaśniedziałe — z epoki trzeciorzędnej. Pani właściwie nie zna dotąd życia, pani Iro. Wychowana w zaścianku wiejskim, później u boku pedanta męża, pozostałaś pani obca wybitniejszym kierunkom doby ostatniej... Nowe prądy, nowe nastroje.

IRA (przerywa): Ah panie, jam dziś tak skołatana, zdrę-

czona, gdzie mnie tam myśleć o prądach, nastrojach!.. Ja nawet nie rozumiem, po co pan to wszystko mówi? O co panu chodzi właściwie?

FELIKS (z zakłopotaniem): Hm, hm. Nie śmiem tłumaczyć się jaśniej. Nie śmiem powiedzieć pani, iż... iż twoja osoba, twoja... twoja piękność...

IRA: Co! co!

FELIKS: Tak pani — rzuciłaby ci pod stopy, gdybyś tylko zezwolić raczyła — nie jedno rozkochane, płonące serce... I pani, wyzwolona z pęt małżeńskich...

IRA (przerywa): Ależ panie, ja jestem uczciwa kobieta i nawet rozłączając się z mężem, nie rozłączę się z uczciwością... Jak pan śmiesz!

FELIKS: Namiętność uszlachetnia wszystko! To ogień prawdziwie oczyszczający!.. I kobieta, posiadająca odwagę swych... umiowań, zostaje na zawsze godną czci i hołdu!

IRA: Co za cynizm! co za zuchwałstwo!

FELIKS: Nie rozumiemy się.

IRA: Przeciwniel aż za nadto!

FELIKS: Nadczłowieka widzieć w pani chciałem! Ubóstwiać, wielbić jak istotę wyższą!..

IRA: Żegnam pana.

FELIKS: Nie poznała się pani na mnie, poznać nie umiała. Przyjdzie czas, w którym żałować będziesz zbytnej surowości ale wówczas ja... ja będę... daleko!

IRA: Żegnam.

FELIKS (z niskim ukłonem odchodząc na str.): Gęs.
(znika głębią).

IRA (sama): Co za nędznik!

SCENA JEDENASTA.

IRA, HELA, później TADEUSZ.

HELA (wbiegając z lewej): Czegóż siedzisz tutaj, sam
na sam ze swoim strapieniem. Pójdź do nas, pogadamy.
(głębią wchodzi Tadeusz).

TADEUSZ: Stawiam się na rozkazy.

HELA: A! nie przeszkadzam (znika).

SCENA DWUNASTA.

IRA, TADEUSZ.

TADEUSZ: Pani ciągle taka smutna (całuje w rękę).

IRA: Żądam rozwodu—radź pan, pomagaj.

TADEUSZ: Rozwodu?... Ależ pani.

IRA: Jeśli rozwód nie możliwy, to separacji—ale szybko,
natychmiastowej.

TADEUSZ: Ja i separację odradzam najusilniej. Zastanów się pani, jakaż jest pozycja separatki?... Świat złem okiem patrzy na takie wykolejone istoty i sądzi je surowo.

IRA: Wiem—lecz cóż począć?

TADEUSZ: Czyż potrzeba aż takiej ostateczności, żeby sobie podług woli uregulować istnienie? Czyż to mieszkając razem z mężem, nie można dla swych uczuć znaleźć jakiej duszy pokrewnej? bo przecież pani nie zamyśla chyba w swoim wieku (urywa)...

IRA: Cóż?

TADEUSZ: Hm, hm... jakby się tu wyrazić dyskretnie?... nie zamyśla pani zgłuszyć w sobie... w sobie...

IRA: Czego? czego?

TADEUSZ: Uczucia, serca, władzy kochania.

IRA: Ah Boże, małoż jest na świecie rzeczy do kochania? Rodzina, obowiązki, jakaś idea, sztuki piękne, natura, wreszcie nieszczęśliwi.

TADEUSZ: Mrzonki! Nie w pani wieku, nie w pani wiekul

IRA: Zresztą nie o tem mieliśmy mówić, lecz o...

TADEUSZ: O rozwodzie, wiem. Ale ja go potępiam, odradzam, przepisując natomiast receptę inną... Osoba tak urocza, tak wdzięku pełna...

IRA: Co! i pan! także! i pan!.. Otóż to przyjaźni waszał.. W nieszczęściu swojem zwróciłam się do was, jako do najzaufañszych a przytem jako i do prawników, po radę, po pomoc—tymczasem wy, jak jeden, tak i drugi... oh, idź pan, idź, żebym nie powiedziała, co o was myślę—idź!

TADEUSZ: Przepraszam panią, ale o uczucia tak dyskretnie, żadna dama obrażać się nie ma prawa. I pani sama, po głębszem zastanowieniu...

IRA: Dość!

TADEUSZ: Odchodzę w przekonaniu, że jedynie chwilowe rozdrażnienie...

IRA: Adieu.

TADEUSZ (złożywszy ukłon — na str.) Idiotka! (znika).

IRA (sama): Ah! co za świat! co za ludzie!
(wbiega Hela).

SCENA TRZYNASTA.

IRA, HELA.

HELA: Chodź, chodź, jesteśmy na tropie! Małenka się rozszczębiotała o swoim piesku Burciu, o swojej lalce.

IRA: Jak się nazywa? gdzie mieszkają?

HELA: Eh, na to ona za głupiutka jeszcze. Lipcia jej na imie — a na zapytanie: co robi mamusia? odrzekła: „Mamusia piezie, piezie“ i jęła pokazywać rączkami (odpowiedni ruch) jak mamusia pierze. Ztąd wniosek, że to jakaś praczka.

IRA (patetycznie): Zdradza mnie dla praczki! Nie! podobnego potwora ziemia nie wydała jeszcze!

(odchodzą na lewo — Roman z prawej).

SCENA CZTERNASTA.

ROMAN, ANUSIA, później WALENTY.

ROMAN (wchodząc, woła): Walenty!

ANUSIA (wchodzi głębią): Walentego nie masz, proszę pana.

ROMAN: Gdzież go znowu lichy nosi?

ANUSIA: Poleciał do apteki po rumianek.

ROMAN (zdziwiony): Po co?

ANUSIA: Mała dostała boleści. Pani starsza opycha ją ciastem, mlekiem, pomarańczami...

ROMAN: Szpital w dodatku! Nie! ta stara mnie zamorduje! Słuchaj, żeby mi Walenty nie ważył się na krok, bez mego pozwolenia. (wchodzi Walenty) Cóż to Walenty sobie myśli, tak ciągle?

WALENTY: Po rumianek, musiałem (Anusia znika).

ROMAN: Dość tych rumianków, dość tych błazeństw. O zmierzchu odwieziesz do Przytułku tego bębna.

(Znika na prawo).

WALENTY (na ustr.): Choroba z tym bębnem — goń i goń na wszystkie strony.

(Kieruje się ku lewej, Klima spadając jak wichher, odtrąca go, aż się potoczył).

SCENA PIĘTNASTA.

KLIMA, później LEON.

(Klima biegnie prosto do okna, wzruszona, rozradowana, wychyla się, odbiega na środek sceny, wyjmując z kieszeni puder i lusterko, pudruje się szybko, poprawia włosy, ubranie, siada na kanapce, chwytając robotę, ciska, bierze książkę, zmienia parę razy pozę, наконец usiadłszy tyłem do drzwi, w pozie malowniczej, zatapia się w czytaniu. Głębią wchodzi Leon, przystanął zakłopotany, chwiejny, wreszcie zbliża się — Klima

udaje, że nic nie widzi, nie słyszy—po chwili rzekomo przestrasza się).

KLIMA: Ah! jakżem się przeleżał!

LEON: Przyszedłem, by...

KLIMA (głosem sztucznym): Niechże pan siada (wskazuje miejsce przy sobie), proszę, bardzo proszę.

LEON (b. chłodny): Rączki całuję. (siada zdaleka) Przyszedłem... z pożegnaniem.

KLIMA: Z pożeg...

LEON (nie patrząc na Klimę): Wyjeżdżam.

KLIMA (ledwie mogąc dech złapać): Do... dokąd?

LEON: Na wieś—do siebie.

KLIMA: Prze... przecież mieliśmy wracać razem, tak jak razem przyjechaliśmy tutaj.

LEON: Rozmyśliłem się.

KLIMA: My nie zabawimy długo—nie! My także prawdopodobnie za kilka dni...

LEON (niepewny): Ja... ja... jadę dziś.

KLIMA (b. wzruszona): Dziś?!

LEON (ciągle b. chłodny): Pani zechce pożegnać ode mnie mamę i siostry. (wstaje, chcąc odejść): Rączki całuję.

KLIMA: Ah nie, nie! to pan sam. Mama by się gniewała. Niech pan pozwoli, mama jest tam—proszę, proszę.

LEON (odmawiając): Całuję rączki.

KLIMA: Ja bo... co prawda... uniosłam się troszeczkę... Jestem nieco... nieco... za żywa—istotnie—przyznaję... ale...

ale... No, proszę podać mi rękę... no... Mnie przykro, nieźmiernie przykro p. Leonie... Ah! przyznaję się, przyznaję sama... Chodźmy do mamy. (Leon walczy ze sobą, widocznie jednak mięknie). Później wyjedzie pan, kiedy zechce, ale do mamy musi pan (z determinacją). Eh, co tam! chodź pan i basta! (chwytając go za rękę i ciągnie ku lewej—znikają. Za sceną, w głębi hałas).

SCENA SZESNASTA.

ANUSIA, WALENTY, WIKTORJA.

(wbiegają zirytowani: najprzód Anusia i Walenty, za nimi Wiktorja, tęga, przystojna i hałaśliwa kobieta).

WALENTY: Nie hałasować tak!.. tu nie głusi mieszkają.

WIKTORJA: Moje dziecko! moje dziecko! kto mi ukradł dziecko!.. Lipciu! Lipciu!

ANUSIA: Ukradł! widzicie ją!

WIKTORJA: Gdzie ono! gdzie ono! Oddajcie!

ANUSIA: Jest, jest. Nie wyzwierzajcie się tak bardzo. Tam u pań jest. Karmią ją, poją, hołubią. Jeszcze wam krzywda...

WIKTA: Kto śmiał. Kto śmiał...

WALENTY: Djabli acania wiedzieli, czyje ono? Kwiczało pod progiem, samo jedno—więcemy z dobrego serca...

WIKTORJA: A bodaj was psy zjedli z takim sercem! Daj mi panna trochę wody, bo aż mi język przysechł w gębie (siada).

WALENTY: Nie znać tego. (Anusia podaje — Wiktorja pije). Myśleliśmy nawet, Boże odpuść — że jakaś lafirynda z umysłu podedrzwii...

WIKTORJA (skoczywszy, jak oparzona, do niego): A ty, obwiesiu jeden! co ty szczekasz!.. Ja ci pokażę lafiryndę!.. Ja cię tu utłukę, ja cię tu chyba roztrzęsę! ty! ty!
(porywa go za kłapy tużurka i trzęsie nim).

WALENTY: Puszczajcie do wszystkich djabłów! bo jak was zamałuję...

WIKTORJA: Stul gębę szubieniczniku!.. Lafirynda!.. Żeby cię mój usłyszał, jednejby w tobie kości nie zostawił całej! ty! ty!

WALENTY (oglądając kłapy): Cholera, nie baba!
(wchodzą z lewej: Ira, Warecka, Nata, Hela, później Roman).

SCENA SIEDEMNASTA.

WALENTY, WIKTORJA, ANUSIA i nowo przybyli.

IRA: A tu co za wrzawa?

ANUSIA: To, proszę pani, ta kobieta, co to dziecko...

WARECKA (z okrzykiem): Al! ta ladacznica! ta ladacznica!

WIKTORJA: Co! co!

WARECKA: Aresztować ją! (Walenty i Anusia odchodzą).

WIKTORJA: Aresztować mnie! mnie. A to za co? jakim prawem?

WARECKA: Jesteś... jesteś kochanicą mego zięcia.
(wchodzi z pr. Roman) Tego oto pana!

WIKTORJA: Jezu Nazarański!

WARECKA: A owo dziecko, to jego dziecko...

ROMAN: Aaa! to to ty! mam cię nareszcie, łotrzycu!

WIKTORJA: Łotrzycu!.. Czego państwo chcecie odemnie?.. Ja pójdę do sądu, ja podam skargę.

ROMAN: Milcz hultajko — ja sam jestem sędzią i nauczę cię, co to...

WIKTORJA: Eh, ja się tam nikogo nie boję! ja się i starego diabła nie boję!.. Uczciwa żona i matka jestem. Cała Krochmalna mnie zna!.. Mój mąż: Onufer Kłoc, stolarz — ja utrzymuję pralnię. Pralnia Syrena, nr. 19 — na dole. Proszę posłać, proszę się przekonać. Bez cóż mnie tu taki traktament spotyka? co? he?

WARECKA: Bezczelność niepojęta!

ROMAN: Pozwól mama. (do Wikty) Więc z kądziołki przy-
szło ci do głowy dopuścić się podobnej podłości?

WIKTORJA: Jakiej podłości? Co pan sędzia będzie mi tak ubliżał? he?.. Co ja zrobiłam takiego? he?

NATA: Ano, podrzuciłaś.

WIKTORJA: Co państwo z tem podrzuceniem?.. To państwo porwaliście mi dzieckol.. Ja o mało nie skończyłam ze strachu, jak dziewucha przyleciała z rykiem do domu, przez małe!

WARECKA: Laryfary!

ROMAN: Pozwól mama — rzecz trzeba wyjaśnić. Ona

jakoś nadto pewna siebie (do Wikty). Zkądże więc wasza mała wzięła się pod moimi drzwiami?

WIKTORJA: Zkąd? ja panu powiem, zkąd.—Ino przez tych wymysłów. Państwo są sobie państwo, ale i my też, chwalić Najwyższego, nie bele co!

IRA: Prędzej, prędzej.

WIKTORJA: Zara. Oto odsyłałam białe suknie dla córek pana doktora, tu na 3-im piętrze.

IRA: Doktora Nerudy?

WIKTORJA: Jużci—doktora Marudy, dla którego pieram od dwóch lat. Mała naparła się na spacer—pozwoliłam. To głupie—z przeproszeniem—ciele—moja sługa—bojąc się na schodach pognieść suknie, czy dla ulżenia sobie kłopotu, posadziła dziecko na kurytarzu a sama poleciała na górę. Za powrotem, już dzieciaka nie zastała. Oto zkąd się wzięło!

ROMAN (ze śmiechem): Ha, ha, to to taka historja!.. To to tak było?.. ha, ha, ha.

HELA: Tymczasem miła służba...

ROMAN: Łącznie z kochaną mamą zrobiły z tego... ha, ha, ha—pęknię ze śmiechu, ha, ha, ha. (śmieje się do rozpuku—wszyscy zakłopotani, zawstyżeni).

WIKTORJA (zdumiona): Cóż w tem jest tak śmiesznego, proszę pana?

ROMAN: Jest, jest—ale dla mnie jedynie, ha, ha, ha! W każdym razie, przepraszamy panią—ha, ha. A co mam? ha, ha, ha.

WARECKA (zaambarasowana): No tak, zapewne. Dro-

bnie nieporozumienie i basta. — Istotnie przepraszamy panią—omyłka.

WIKTORJA (nie pojmując, o co chodzi): Nie! to jakiś dom warjatów!.. O la Boga! moje dziecko! gwałtu!.. Gdzie moja mała! gdzie moja Lipka! gwałtu!

HELA (wołając): Walenty! (do Wikty). Uspokój się pani. (do wchodzącego Walentego). Przynieś tu małą.

ROMAN: Ha, ha! (śmieje się). (Walenty wnosi małą, trzymającą pomarańczę. Jednocześnie wchodzi pod ręce w najlepszej zgodzie Klima z Leonem).

LIPKA (ujrzawszy Wikę): Mama! mama!

WIKTORJA: Robaku mój! (chwytając małą, tuli, całuje). Prędzej, prędzej, uciekajmy ztąd—do taty, Lipciu, do tatusia.

LIPKA: Do tatusia! do tatusia!

HELA (całując małą): A z nami nie pożegnasz się Lipciu?

WIKTORJA (trwożna): Padam do nóg, padam do nóg. (ucieka głębia).

SCENA OSIEMNASTA.

ROMAN, WARECKA, IRA, NATA, HELA, KLIMA I LEON.

ROMAN: Wzięła nas za warjatów! ha, ha, ha. (pauza—spoglądając po obecnych, mocno skonfundowanych) No?.. A teraz co będzie? co teraz będzie? he? co? moje panie? Mam, co?

WARECKA (zakłopotana): Cóż ma być?.. Nic nie będzie.

ROMAN: O! za pozwoleniem! Za tyle zniewag, obelg, dokuczań, nie ma być zadośćuczynienia? (wszyscy milczą, spoglądając po sobie): Teraz ja będę się separował, ja zażądam rozwodu—ha, ha, ha. Chyba, że moja pani żona okaże się sprawiedliwszą od swojej rodziny i... i uściska na zgodę niewinnie oskarżonego małżonka. Cóż! Iruś?

IRA: Uczyniłabym to może—ale pod warunkiem.

ROMAN: Słucham.

IRA: Jeśli wyzbędziesz się podejrzliwości, nieufności, zazdrości, zgoda wszelkich „ości” swego charakteru a staniesz się najłagodniejszym, najśłodszym z mężów...

ROMAN: Uczyniłbym to może—ale pod warunkiem.

IRA: Słucham.

ROMAN: Jeśli mi kto wskaże sposób, w jaki możnaby oduczyć was płochości, kokietery — jednym słowem: sposób by was umoralnić... by umoralnić kobiety?

(pyta wzrokiem otoczenie; chwila milczenia dość długa).

NATA (po pauzie): Sposób by umoralnić kobiety?.. Nic prostszego. Ja panu powiem. Oto: umoralnijcie samych siebie—a kwestja będzie rozwiązana.

(Zgoda małżonków).